Nr. 27. Warszawa, dnia 20 Czerwca (2 Lipca) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWY SEJM NIEMIECKI.

Stary sejm w roku bieżącym zakończył swój żywot; nowy na jego miejsce musiał naród cesarza Wilhelma z łona swego wydać. Stało się to w dwu porodach: d. 16 b. m. przypadły wybory główne, d. 24 b. m. uzupełniające; w pierwszych ostatecznie mandat zdobyło 211—3, w drugich 184—6. Ta wielka liczba wyborów niedokonanych od jednego głosowania jest w Niemczech zjawiskiem stałem. Sejm nieboszczyk, który narodził się z walki o służbę dwuletnią w zamian za 40,000 rekrutów i 18,000 rezerwistów pierwszego powołania, których żądał Caprivi — pierwszego dnia wyborów, 15 czerwca 1893 r. zyskał tylko 217 posłów, 180 dorzucił mu drugi, 24 czerwca. Pierwszy odznaczył się wówczas niepamiętnym pogromem stronnictwa postępowego: ani jeden jego kandydat, nawet sam Eug. Richter, nie otrzymał mandatu; tylko Rückertowskie „zjednoczenie wolnomyślne,“ które jeszcze przed rozwiązaniem sejmu (6 maja) zaczęło się od głównego jądra oddzielać, przepchnęło swoich trzech.

W wyborach obecnych pierwszy dzień walki był nader pomyślnym dla środka, dla katolików: przeprowadzili oni odrazu aż 85 swoich. Wskazuje to, że okręgi, które ich wybierały, są jednolite, mniejszości w nich słabe, a najważniejszem zadaniem wyborów dla stronnictw wydobycie i obliczenie swych sił. Powiodło się też w dniu 16 z. m. i socyalistom; z 44 mandatów, z którymi wchodzili do sejmu w r. 1893, napowrót zdobyli od jednego natarcia 32. Liczba przeszłych zaraz w pierwszym dniu wyborów kandydatów narodowych w W. Ks. Poznańskiem i w Prusiech stwierdziła takie samo, jak przy centrum katolickiem, zjawisko: lud polski miał w wybierających okręgach przewagę liczebną dostateczną, aby stanowczo już w pierwszem głosowaniu zwyciężyć; za to wybory uzupełniające przyniosły klęskę, i to podwójną: d. 24 z. m. jeden tylko poseł przybył do grona wybranych w d. 16 t. m., a i ten jeden, p. Motty, jest kandydatem *Dziennika Poznańskiego*, rozbitkiem partyi dworskiej, która w krótkim swym żywocie jętki była zorganizowaną formą demoralizacyi politycznej, nurtującej to nieszczęśliwe, bez wodzów, bez rozumu, bez rzetelnej woli życia społeczeństwo. Ów p. Motty, poseł Poznania, pobił kandydata ludowego, p. Andrzejewskiego.

Wybory uzupełniające lwią część w stosunku do liczby mandatów w pierwszem już głosowaniu otrzymanych dały socyalistom: do 32 przybyło im 24; mają 56. Jest to fakt najważniejszy z całego huraganu wyborczego: to rzeczywisty grom. Stronnictwo gnębione, o ile konstytucya, względem Niemców szanowana, gnębić pozwala, ogłoszone za Reichsfeindów“ przez dzisiejszego samotnika z Friedrichsruhe, wyklinane przez dobrych patryotów, przez zasłużonych obywateli starszych, przez pełnych nadziei obywateli młodszych — rośnie, rośnie ciągle. Dwadzieścia lat temu twórca wielkopaństwowości niemieckiej mówił z pogardą o jednym tuzinie; dziś na pięć patrzeć musi ze strachem, który tem głębiej przejmuje, że jest przedgrobowym i że go już żaden czyn, żadna żądza czynu nie spłoszy. Niemcy normalni, stanowiący naród cesarza Wilhelma, błogosławiący ex-kanclerza za potęgę polityczną, którą ich obdarzył, nie dziękują mu pewno za głosowanie powszechne, które im do konstytucyi z d. 16 kwietnia 1871 r. wprowadził. Jakżeby to wszystko inaczej wyglądało, gdyby w cesarstwie, jak w Prusiech, obowiązywały poczciwe wybory dwustopniowe, z censusem podatku, wieku i osiadłości, któremi konstytucya z d. 31 stycznia 1850 r. trzyma w karbach specyalny naród pruski!

Ze stu dwu tysięcy pierwotnych wyborców przez lat dwadzieścia, do roku 1893 urosła ogromna liczba 1,786,738 — urzędownie przez ministeryum spraw wewnętrznych ustanowiona, zatem niewątpliwa. Obliczenia r. 1898 wydadzą prawdopodobnie dwa miliony. Była to i jest najliczniejsza w narodzie niemieckim grupa przekonań pożądań i ludzi, wnoszących je na wielkie targowisko polityczne. Cesarz Wilhelm, który w d. 16 z. m. w przemowie do gwardyi na pamiątkę swego dziesięciolecia nazwał ją filarem narodu, teraz po wyborach będzie musiał uważać ją za całą arkadę, za dwa filary i sklepienie. I tego wszystkiego narobił ks. Bismarck swoją chęcią stopienia wszystkich partykularyzmów, separatyzmów, anti-germanizmów — we francuskiem głosowaniu powszechnem. Prawdziwie, jest jakaś zdolność odwetu i pomsty w samych rzeczach, w wypadkach, w instytucyach: ze stanowiska normalnego patryotyzmu niemieckiego zwyciężona Francya wszczepiła jad w zwycięzcę — i tym jadem zwycięzca zatruwa się coraz bardziej. Posłowie ze stronnictwa, które wcielony, lodowaty rozum tak sobie zrazu lekceważył, stanowią dziś siódmą część sejmu niemieckiego (56 z 397), a półszóstą narodu niemieckiego z praw politycznych korzystającego. Same już te stosunki liczbowe mają wymowę, której nawet głos potężniejszych mówców i większych mocarzy od cesarza Wilhelma zagłuszyć-by nie zdołał.

Siła innych stronnictw tak się rozkłada, przy 387 wiadomych wyborach: środek katolicki 96. Zachowawcy, przeważnie pruscy panowie, 57—nadto t. zw. „wolni,“ tj. umiarkowani zachowawcy 20 i 8 „rol-

ników“ (agraryusze) — w sumie 85. Narodowcy, którzy w r. 1893 już tonąć zaczęli w pierwszym dniu wyborów, ale potem wzrośli aż do 52 — mają teraz 49. Wolnomyślni, złączeni już napowrót w jedno stronnictwo — 43, a z 7 demokratami Szwabii i 5 chłopami bawarskimi 55. Antisemici przeprowadzili swoich 11 wiadomych; Welfowie swoich 8 (należących i nienależących do środka). Tych 360 (wraz z socyalistami) wyobraża całość narodu niemieckiego. Po za tą całością stoją stronnictwa narodowe: 14 Polaków, 8 Alzatczyków, 1 Duńczyk — razem 23. Czterej posłowie z 387 teraz już mają tytuł „dzikich,“ tj. należących do samych siebie.

Tydzień polityczny. Wyprawa gen. Shaftera, pomimo najeżenia pobrzeża, na którem leży Santjago, bateryami i wojskiem, zdołała wylądować, stanowiska sobie zdobyć, obwarować, utrzymać i obszar ich zwiększyć. Nadspodziewanie łatwo poszło usadowienie się taktyczne na wschód od wielkiego portu. Od zachodu Amerykanie mają czucie z powstańcami, którzy zataczają już krąg od północy. Walka poważniejsza toczyła się 24 z. m., ale wogóle nie było dotąd jeszcze rozprawy godnej celu — zdobycia ważnego grodu i przystani. Amerykanie ciągle jeszcze są za słabi do natarcia, powstańcy również: jeden kulawy, drugi chromy — nie dalekoby zaszli. Z 15 tys. przywiezionych Zjednoczeńców najwyżej 10 mogłoby ruszyć wstępnym bojem: 5,000 powstańców strzedz się musi zaskoczenia od strony lądu przez jaką odsiecz hiszpańską. Przytem ciągle czegoś brak Amerykanom: improwizacya pierwszej chwili odzywa się ciągle w następnych. Nowe posiłki już do wyjazdu gotowe; wybiera się i naczelny generał Milles, zastępca prezydenta. Jest już i mianowany dowódca wyprawy na Portorico, która ma mieć podstawę w Santjago — ale zanim się piękną skórę z niedźwiedzia ściągnie, trzeba go pierwej powalić, a do zdobycia onej podstawy jeszcze daleko.

Amerykańskie posiłki lądowe i morskie dla Deveya pod Manilą muszą już być na miejscu. Dowodzący flotą Hiszpanów Augustin, przyciśnięty przez powstańców, zamknięty przez Amerykanów, wydaje rozpaczliwe jęki, chociaż na pozytywne propozycye poddania się odpowiada pozytywną odmową. Camara płynie mu na pomoc; okazało się, że Gibraltar nie dla zmylenia tropu, ale na dobre przepłynął z Kadyksu, aby coś zrobić dla panowania hiszpańskiego na Filipinach. Zrobi zapewne niewiele, a bodajby do jednej klęski w d. 1 maja nie dodał drugiej.

W Hiszpanii stronnictwo pokoju z Katalonii rozpościera się po kraju. Jednocześnie telegrafy i prasy drukarskie obrabiają temat układów pokojowych jakoby w tajemnicy już toczonych. Jeden z panujących (ces. Fr. Józef), miał zwrócić się do papieża o zachętę do pośrednictwa; papież odmówił. — Kortezy po gwałtownej scenie odroczono. Sagasta jeszcze stoi, ale wróżą mu blizki upadek. O abdykacyi królowej cicho.

We Francyi po p. Ribocie, Dupuy (niewyraźnie występującym), Sarrienie podjął się zbudowania nowego przybytku czynnej mądrości politycznej p. Brisson. P. Faure, choć z niechęcią, musiał ostatecznie tego rdzennie konstytucyjnego kandydata powołać. D. 27 z. m. kandydat miał już gabinet złożony, ale jeszcze nie zatwierdzony.

We Włoszech na czele gabinetu stanie dawny minister wojny, Pelloux.

Wiener Ztng ogłosiła rozporządzenie cesarskie z d. 25 z. m., nakazujące tymczasowy pobór dochodów i wydatkowanie z nich na zasadzie przewidywania ministeryalnego od lipca do końca roku: pierwsze to po odroczeniu sejmu zastosowanie § 14.

W Galicyi namiętne wybuchy ludu przeciw Żydom szerzyły się w części zachodniej i dotarły do Podhala. Namiestnik dwukrotnie ruszał się z miejsca i objeżdżał widownię. W Limanowie i N. Sączu z powiatami ogłoszono prawo o sądach doraźnych: innego wyjścia nie było i niema, jeno powściągnięcie; ale prawodawstwo potrzebuje przetworzenia, własność drobna — ochrony od łupieztwa. Przyjaciele i nieprzyjaciele Żydów i Żydzi sami, o ile są obywatelami, pamiętać o tem powinni.

Mowa p. Komarowa, redaktora *Swietu*, na uroczystości Palackiego w d. 19 z. m. w Pradze narobiła wrzawy po nad wielkość i znaczenie mówcy. *Pesti Hirlap* i *Magyar Hirlap* w Peszcie, *N. fr. Presse* w Wiedniu, *Neueste Nachrichten* w Berlinie — stanęły w obronie zagrożonych Niemiec i Niemców. Ministeryalny *Fremdenblatt* przypomniał prawa i zarazem obowiązki gościnności, a Bismarck w *Hamburger Nachrichten* uśmierza trwogę i gniew zaręczeniem, że jeśli dobrych stosunków Rosyi z Niemcami nie zdołał naruszyć taki Skobelew, nie powiedzie się i mniejszemu odeń p. Komarowowi. Rozsądnie, jak rzadko, przemówił *Czas*, oczyszczając z błędów pojęcia o charakterze obchodu praskiego. Do wina, jakiem uraczyła zebranych wymowa redaktora *Swietu*, dolały sporo czystej, źródlanej wody *St. Pet. Wiedomosti.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ZA KULIS PRACY.

Do rzeszy zapomnianych, zaniedbanych, idących pod ciężarem trudów i wyzysku, należą pracownicy przedsiębiorstw cukierniczych. Ukryci po za oczyma społeczeństwa w piwnicach i suterenach, nie objęci dotychczas opieką i kontrolą prawną, pozbawieni tych przywilejów i potrzeb życia, które są nieodłącznym warunkiem istnienia, dźwigają na sobie i podnoszą zyskowne przedsiębiorstwa, które ich właścicielom pozwalają budować kamienice, składać gotówkę w bankach, kupować papiery wartościowe i używać wszelkich slodyczy tego świata. O ulgi dla tej rzeszy znękanych i przybitych nikt jeszcze dotychczas się nie upomniał, nikt najmniejszej uwagi nie zwrócił na ich niedolę i utarczki z twardymi warunkami bytu. Wyjęci z pod wszelkich praw, regulujących pracę, oddani są na zupełną i bezwzględną pastwę przedsiębiorców, którzy nie znają granic swoich wymagań, nie mają miary w wysysaniu sił i zdolności ludzkich.

Postanowiliśmy zajrzeć po za tę zasłonę bytu sporej gromady ludzi i zdołaliśmy zobrać następujące znamienne szczegóły. Praca w cukierniach dzieli się na dwa rodzaje: sklepową i piekarnianą. Oba równie niewolnicze i uciążliwe. Tak np. subjekci w sklepie mogą wychodzić tylko *raz na dwa tygodnie* w dni powsze-

---

59)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

„Złota Rączka.“

Niedziela wieczór. Koło małego schludnego domku obok przytułku derbińskiego wrzawa i śmiech. Skrzypią karuzele przyozdobione gałęziami jodłowemi, skomli orkiestra, złożona z trzech skrzypiec i klarnetu fałszywego. Osiedleńcy tańczą tropaka. „Niepomny“ magik i sztukmistrz, połyka świecę palącą się i wyciąga z nosa wstęgi różnokolorowe. Rozlega się odgłos korków z butelek, kwasem napełnionych. Ze sklepiku dolatują głosy pijanych. Z okien biegną okrzyki grających.

Gospodynią tego sklepiku z kwasem, domu gry, karuzeli, sali tańca, karczmy i całego Café-Chantant, jest „włościanka z wysłanych,“ Zofia Bluwstein, sławna w Rosyi i prawie całej Europie „Złota Rączka.“

Podczas jej procesu stół z dowodami przestępstwa palił się od klejnotów.

— Świadek! — zwrócił się prezydujący do jednej z poszkodowanych — proszę tu wskazać swoje rzeczy!

Dama z twarzą zmienioną zbliżyła się do „Golkondy.“

Oczy się paliły, ręce drżały; przerzucała, dotykała każdy przedmiot.

Z ławy oskarżonych rozległ się głos drwiący:

— Niech pani będzie spokojna! Proszę się tak nie wzruszać! Te brylanty fałszywe!

Przypomniał mi się ten epizod, gdym o 6-ej rano szedł po raz pierwszy do „Złotej Rączki“ w odwiedziny.

Oczekiwałem spotkania z tym Mefistofelesem, „Racambolim w spódnicy,“ z tą potężną naturą zbrodniczą, której nie złamała ani katorga, ani cela osobna, ani kajdany, ani świst kul i rózg; z kobietą, która zamknięta osobno, układała krwawe plany.

Pomimowoli cofnąłem się, gdy do mnie wyszła mała staruszka, z twarzą uróżowaną i pomarszczoną, jak jabłko pieczone, w trzewikach ażurowych, w ubraniu z pretensyą do kokieteryi, z włosami karbowanymi.

— Czyżby to była „ta sama?“

Gdyby miała włosy siwe i twarz żółtą, nie zrobiłaby tak przykrego wrażenia!

Obok niej stał wysoki, zdrowy, silny i ładny, jak bywa ładne silne zwierzę — jej towarzysz życia, osiedleniec Bogdanow.

Teraz zrozumiałem znaczenie tych rumieńców sztucznych.

Trudno określić jej wiek. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć kobiet, nad których głowami przelatywały kule, a na skórę spadały plagi.

Sama się przyznawała do 35 lat.

Przeszła ona w swojem życiu bardzo dużo.

Jej natura zbrodnicza była nieugiętą i dowiodła bezpłodności środków surowych.

Dwa lata i osiem miesięcy była zakuta w kajdany ręczne.

Jej bezsilne, schnące ręce, cienkie jak sznurki, nikłe, pozbawione muskulatury — mówią, co to za straszna kara.

Jeszcze jako tako włada prawą ręką; ale żeby podnieść lewą, musi ją wziąć prawą pod łokieć.

Silny ból w ramieniu usychającej ręki nie daje jej spokoju ani w dzień, ani w nocy. Nie może ona sama przewrócić się na bok, nie może wstać z pościeli.

Bito ją i — jak mówią zwykle pp. sprawozdawcy — „widowisko to długo pozostanie niezatarte w pamięci i wykonawców i widzów.“ *) Wszyscy oni nie mogą dotychczas wspomnieć bez śmiechu o tem, jak bito „Złotą Rączkę.“

Uśmiecha się na wspomnienie o tem nawet zawsze poważny Komlew — postrach i wstręt wszystkich katorżników, najokrutniejszy z oprawców sachalińskich.

— Jakże! Pamiętam! Dwadzieścia jej dałem.

— Ona mówi, że więcej.

— To jej tak się zdało! — mówi uśmiechając się Komlew. Ja dobrze pamiętam ile. Dałem jej dwadzieścia tak dobrze, że mogło za dwieście wystarczyć.

*) Teraz kary cielesne dla kobiet zniesiono. Ta była jedną z ostatnich.

dnie i to od południa. Zaledwie jest kilka przedsiębiorstw, gdzie oni mają dzień wolny raz na tydzień, ale również od południa. Przytem owe dnie wolne nie zawsze przypadają akuratnie; bywają odkładane i opóźniane, zależnie od ruchu i interesów przedsiębiorstwa. Wogóle pracownicy w cukierniach nie mają wcale pracy systematycznej, określonej co do czasu i natężenia, zależni są całkowicie od wahań handlu i produkcyi oraz od nieprzebranych i nienasyconych wymagań przedsiębiorców. Są firmy, gdzie subjekt pracuje jednego dnia od 9-ej rano do 9-ej wieczór, drugiego — od 8-ej rano do 12-ej w nocy. W innych bywa trochę odmienny rozkład godzin, ale nigdy niema mniej pracy. Jeżeli jest kilku subjektów, to jedni pracują od 9-ej rano do 12-ej w nocy, drudzy od 7-ej rano do 9-ej wieczór. Praca od 9-ej rano do 12-ej w nocy czasem trwa stale kilka lat bez przerwy i wytchnienia, z wyjątkiem pół dnia wolnego raz na tydzień lub co dwa tygodnie. Wogóle praca subjektów cukierniczych trwa od 12 do 16 godzin na dobę.

Nie lepiej się dzieje w piekarniach cukierniczych. Wprawdzie mówi się, że pracują oni tam 12 godzin: od 7-ej rano do 7-ej wieczorem, ale w rzeczywistości jest inaczej. Praca w piekarniach nie ma określonej ilości godzin; jest wprost zależną od napływu roboty, której nigdy nie brak. Każdy bowiem przedsiębiorca trzyma tylu pracowników, ilu potrzeba w okresie średniej produkcyi. Bardzo często, gdy się ruch wzmaga lub napływają nagle nieobliczone zamówienia, trzeba pracować do 10 lub 11-ej wieczór i wstawać o 4-ej rano. W karnawale zaś większość pracowników nie ma wcale „wychodnej,“ wogóle bowiem produkcya wzrasta, którą z nadludzkim wysiłkiem musi pchać personel stosunkowo niewielki, zastosowany do pory normalnej. Prócz karnawału, praca gorączkowa zwiększa się na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem i Wielkanocą. Subjekci muszą wtedy pracować o kilka godzin dłużej dziennie, a przez ostatnie dwie noce nie wolno im ani spać, ani na chwilę spocząć. Za to mają niektórzy wolny pierwszy dzień święta uroczystego. Z powodu jednak współzawodnictwa i nienasyconej żądzy zysków pp. przedsiębiorców, niektóre cukiernie są otwarte nawet w pierwszy dzień Wielkiejnocy i Bożego Narodzenia, tj. te dnie, w których są wolni od pracy nawet najnieszczęśliwsi z niewolników przedsiębiorstwa — konduktorzy tramwajowi.

„Panowie zarobkodawcy — skarży się nam jeden z pracowników cukierniczych — wiedzą bardzo dobrze, jak jest produkcyjną dla nich praca subjektów. Bywa nieraz, że jakaś cukiernia mała w rozmiarach, lecz silna pod względem wyzysku, trzymając parę pracowników, może w ciągu kilku lat dojść do pokaźnego majątku. Są i tacy, którzy otwierają drugą cukiernię i posługują się w obu pierwotną liczbą pracowników, bo łatwo mogą zwiększyć ilość godzin pracy, nie zwiększając wcale wynagrodzenia.“

Warunki tego wynagrodzenia są niesłychanie haniebne i krzyczące. Uczeń, skoro zostanie subjektem, pobiera 6, 8, 10 rs. miesięcznie, a nadto ma wikt i mieszkanie. Najzdolniejszy i najbardziej wypróbowany pod względem uzdolnienia, produkcyjności i uczciwości, pobiera 20—30 rubli miesięcznie. To jest największa płaca. Dzięki tak umiejętnemu i nieokiełznanemu wyzyskowi, właściciele cukierni dochodzą szybko do wielkich majątków, posiadają kamienice, a nawet po kilka domów własnych. Zdawałoby się, że przynajmniej w tych domach powinni urządzić mieszkania dla pracowników i piekarnie. W rzeczywistości jednak wolą oni, jak wogóle większość kamieniczników, ciągnąć lichwiarskie zyski z lokatorów, sami zaś dla swoich pracowników wynajmują nory w suterenach i na strychach, gdzie ustawiają tyle łóżek, ile tylko zmieścić się może. Łatwo sobie wyobrazić zabójcze powietrze i straszne wogóle warunki mieszkalne. Piekarnie pod względem zdrowotnym również należy zaliczyć do kategoryi urządzeń, podlegających odpowiedzialności kryminalnej. Brak wentylacyi, czad, temperatura wysoka, a przytem bezsenność, wyczerpanie i zarazem natężenie pracy — to są warunki, przez które musi przejść każdy subjekt cukierniczy, mając w perspektywie przedwczesne steranie sił, tem bardziej, że niema możności naprawy ich co rok przynajmniej kilkotygodniowym wypoczynkiem. Niestety! Żądanie urlopu należy do zuchwalstwa i zarazem jest skłonnością do „próżniactwa“ — w pojęciu przedsiębiorców. Jeżeli w drodze wyjątkowego ustępstwa dają oni wakacye swoim pracownikom, to za ten czas nie płacą wcale pensyi. Rzadko więc kto może pozwolić sobie na taki zbytek; chyba że będzie do tego zmuszony ostatecznością: chorobą lub zapowiedzią szybkiej utraty sił.

Za ten nadmiar pracy nieprzerwanej, za wieczną niewolę subjekci niektórzy dostają czasem na gwiazdkę... po 5 rs. (Było nawet niegdyś zdarzenie, że w pewnej cukierni dostali krawaty). Po za tem nie mają żadnej nadziei polepszenia bytu i zapewnionej przyszłości po przedwczesnem steraniu sił. Spodziewali się zmiany warunków na lepsze z chwilą powstania cechu. Istnieje on już jednak od lat kilku i nie myśli wcale o losach pracowników. Tylo tylko oni skorzystali, że płacą składki 30 kop. miesięcznie, które im w razie wielkiej potrzeby zapewnią wsparcie gro_

Wymierzono jej chłostę w 9-ym numerze więzienia aleksandrowskiego, „poprawczego.“

Obecni byli wszyscy bez wyjątku. I ci, którzy ze smutnej konieczności muszą być przy tych strasznych i wstrętnych scenach, i ci, którzy nie mieli żadnej w tem potrzeby: przez ciekawość.

W numerze, mieszczącym stu ludzi, było tym razem trzystu. Zamknięci „na poprawę“ aresztanci stawali na narach, „żeby lepiej widzieć.“ Karę wykonywano przy akompaniamencie żartów cynicznych i dowcipów. Każdy krzyk nieszczęśliwej wywoływał wybuch śmiechu homerycznego.

— Komlew! lepiej! — wołali aresztanci. — Rzadziej, mocniej!

Zachęcali oprawcę w taki sposób, w jaki zachęcają zwykle, gdy ich także biją.

Ale dla Komlewa zbyteczna była zachęta.

Artysta, wirtuoz i amator swego fachu, uderzał, „rózga w rózgę,“ tak, że krew za każdym razem tryskała.

W połowie wymierzonej kary Zofia Bluwstein zemdlała. Felczer przyprowadził ją do przytomności, dał powąchać spirytusu — i karę wymierzono do końca.

Zaledwie wstać mogła z kobyły i dojść do swojej celi.

Nie miała ona spokoju w zamknięciu osobnem.

— Zaledwie się uspokoi, już ją wzywają. Myśli, że znowu coś takiego. Nie! To fotografię mają zdejmować!

Robiono to dla fotografa miejscowego, który dobrze zarabiał na podobiznach „Złotej Rączki.“

Wyprowadzano ją na podwórze więzienne, urządzano dokoła dekoracye. Zwykle umieszczano ją koło kuźni i odtwarzano scenę zakuwania w kajdany.

Fotografie te sprzedawano dziesiątkami na wszystkich parowcach, przychodzących do Sachalinu.

— Nawet na okrętach cudzoziemskich kupowano. Wszyscy są ciekawi — dodał fotograf przynoszący mi fotografie, wyobrażające zakuwanie.

Wszystkie owe podobizny odznaczają się tem, że nie są podobne do Zofii Bluwstein. Ile bezsilnego gniewu maluje się się na twarzy! Co za cierpienie wykrzywiło jej rysy! Zagryzała usta, jakby usiłując powstrzymać wyrywającą się z nich połajankę. Jest to obraz poniżenia ludzkiego.

— Męczono mię tam fotografiami! — skarżyła się.

Specyalistka w ucieczkach, zdołała i tutaj zbiedz ze swoim obecnym towarzyszem życia, Bogdanowem.

— Ale już sił nie było! — mówi ona z gorzkim uśmiechem. Nie mogę się przedzierać przez lasy. Mówię do Bogdanowa: „Weźmij mię na ręce; odpocznę.“ Wziął, sam się zmieszał. Sił zabrakło. „Siądźmy!“ — mówi. Siedliśmy pod drzewem. A w lesie jakieś odgłosy biegną, słychać chrzęst gałęzi, pogoń!.. Otaczają...

Ucieczkę „Złotej Rączki“ wykryto odrazu. Natychmiast rzucono się w pogoń i urządzono obławę.

Jeden oddział ścigał zbiegów w lesie. Inspektor z 30 żołnierzami stał w pogotowiu. Naraz z lasu wysunęła się postać w ubraniu żołnierskiem.

— Pal!

Rozległ się strzał trzydziestu karabinów, ale w tej chwili postać upadła na ziemię. Trzydzieści kul gwizdnęło nad głową.

— Nie strzelajcie! Nie strzelajcie! Poddaję się — zawołał ktoś rozpaczliwie głosem kobiecym.

„Żołnierz“ rzucił się ku inspektorowi, padł przed nim na kolana.

— Nie zabijajcie!

Była to przebrana „Złota Rączka.“

* * *

Czem się ona zajmuje na Sachalinie?

W Aleksandrowskiem, Onorze i Korsakowskiem — we wszystkich tych miejscowościach, odległych od siebie o setki wiorst — znają „Zośkę Złotorączkę.“

Katorga jakby się nią szczyci. Nie lubi jej, a jednak traktuje z poszanowaniem.

— Baba — głowa!

Jej zdumiewający talent organizowania planów zbrodniczych i tutaj nie poszedł na marne.

Cała katorga nazywa ją główną winowajczynią w zabójstwie zamożnego właściciela sklepu, Nikitina, i w kradzieży 56-ciu tysięcy u Jurkowskiego. Śledztwo w obu tych sprawach dostarczyło mnóstwa podejrzeń co do Zofii Bluwstein, ale ani jednego faktu stwierdzonego.

Ale to było dawno.

szowe. Cech cukierniczy tak dalece jest niedbały o dobro pracujących, że nawet nie kładzie nacisku na potrzebę posyłania uczniów cukierniczych do szkół. Ani jedna cukiernia dotychczas nie uwzględniła tej potrzeby. Wolą wyzyskiwać każdą chwilę i wszystkie siły zarówno chłopców, jak i subjektów dorosłych. Rozciągając okres pracy dziennej do kilkunastu godzin w wiecznej niewoli i zaduchu, nie uważają za stosowne wprowadzić tego systemu, jaki przyjęły nawet najbardziej zaślepione w wyzysku właścicielki pracowni kobiecych, które podczas „sezonu“ płacą szwaczkom dodatkowo za godziny wieczorne i nocne.

Praca w cukierniach wymaga tedy możliwie najszybszego uregulowania, jeżeli nie dobrowolnie, to przymusowo na drodze prawodawczej. Niezbędną jest także niezwłoczna naprawa warunków zdrowotnych, bezkarnie dotąd gwałconych. Pod tym względem pożądaną i skuteczną rolę pośrednika mogłoby wziąć na siebie świeżo zawiązane Towarzystwo hygieniczne.

Warunki reformy możemy sformułować w następujących punktach: 1) Znieść dotychczasowy system wynagradzania i ustanowić osobną płacę za godziny dodatkowe po 8-ej wieczorem. 2) Zwiększyć personel tak, ażeby praca trwała najwyżej 10 godzin na dobę. 3) Zabronić umieszczania pracowników w lokalach ciasnych i niezdrowych, ustanowić normę co do liczby osób na danej przestrzeni lokalu. 4) Nakazać przerobienie piekarni i urządzenie wentylacyi odpowiedniej. 5) Wprowadzić obowiązkową naukę chłopców. 6) Dać częstsze wychodnie subjektom i kilkotygodniowe wakacye coroczne, bez potrącenia płacy. 7) Utworzyć kasę lub zorganizować ubezpieczenie na wypadek utraty zdolności do pracy. 8) Znieść martwotę cechu i stworzyć z niego instytucyę żywą, dbającą o losy i warunki bytu pracowników.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA.

Kraków, 27 czerwca.

Po kilkunastu latach, których smutnej i gorszącej historyi niepodobna opowiadać w uroczystej chwili, postawiono wreszcie pomnik Mickiewiczowi w Krakowie. Tąką to było potrzebą już nietylko społeczną, ale wprost moralną, że przyjęto utwór p. Rygiera bez krytyki, a nawet z wielkiem zadowoleniem, płynącem naturalnie z tego przeświadczenia, że wreszcie jakiś pomnik stoi. I my też nie będziemy go dziś oceniali, zaznaczając tylko ogólnie, iż czyni on zadość warunkom owego ideału kobiety starożytnej, która wtedy ma być najwięcej warta, gdy najmniej dostarcza powodów do mówienia o niej. Zresztą jest to widocznie przeznaczeniem najoryginalniejszego z naszych poetów, że on będzie uczczony pomnikami komunalnymi.

Obchód odbył się śród ogromnego zbioru ludności miejscowej i przybyłej, a przybrałby jeszcze większe rozmiary, gdyby przypadł nieco później, podczas głównego przepływu podróżnych przez Kraków. Jak zwykle w tego rodzaju wypadkach, wygłoszono szereg mów. Rozpoczął je marszałek Galicyi, hr. Badeni, następnie przemawiali St. hr. Tarnowski, dalej włościanin (poseł) Bojko i przedstawiciel młodzieży, student M. Szukiewicz. Żywiołów skrajnych nie dopuszczono do głosu. Złożenie wieńców, muzyka, procesya do grobu poety, widowisko w teatrze i biesiada — wypełniły resztę programu.

Współczesność obchodów nasuwa porównanie z uroczystością Palackiego w Pradze. Chociaż ani zdolności, ani zasługi znakomitego historyka czeskiego nie są równoważne ze znaczeniem takiego olbrzyma, jakim był Mickiewicz, jednakże pierwszy został uczczony daleko wystawniej i głośniej. Do Pragi zjechali się przedstawiciele wszystkich Słowian, wypowiedziano tam mowy, które telegraf rozniósł daleko, przez kilka dni zwrócona była w tę stronę uwaga całej niemal Europy. Inaczej działo się w Krakowie — ciszej i skromniej. Podczas gdy Palacki stał się bohaterem i powodem demonstracyi politycznej, Mickiewicz był tylko przedmiotem hołdu narodowego. Nie zgromadzili się około niego współplemieńcy, lecz współrodacy, nie zaprzysięgano przy jego pomniku ani braterstwa ludów, ani ich walki, tylko pochylono czoła i zgięto kolana przed geniuszem.

CELE DZIAŁALNOŚCI LUDZKIEJ.

IV.

Wobec takiej natury ludzkiej, która stwarza sama dla siebie swoje cele, oczywiście, że praktyka jest rzeczą, przewyższającą swoją trudnością wszystko, nad czem się zastanawiał dotychczas kiedykolwiek umysł ludzki, ponieważ najbardziej złożoną i zmienną istotą z pomiędzy wszystkich znanych nam jest właśnie człowiek.

Zmienny jest podmiot działalności świadomej siebie, zmienne muszą być przeto i jego cele, zależne od jego potrzeb, uczuć, namiętności i przekonań. A jeżeli kiedykolwiek stanie się możliwem ujednostajnienie celów ludzkich, przynajmniej pewnej ich liczby, odpowiadających wspólnym potrzebom, to pozostanie jeszcze drugorzędna różnica środków, prowadzących ku celom, w zależności od warunków miejsca, czasu i mogących się przewidzieć okoliczności.

Podobnemu ujednostajnieniu celów ludzkich, a może też mniej więcej i środków, może stanąć na przeszkodzie, a nawet musi, zdaniem mojem, jeszcze jedna okoliczność. Gdyby ludzkość zatrzymała się obecnie w swoim rozwoju i pozostała na zawsze w stanie, w jakim się znajduje, mogłoby nastąpić dążenie mimowolne do upodobnienia się jednostek, jak to widzimy u wszystkich narodów żyjących długo bez osobliwszych przewrotów i bez obco-

---

— Obecnie jest ona chora i żadnemi sprawami się nie zajmuje — jak objaśnił mię towarzysz jej, Bogdanow.

Urzędowo jest ona właścicielką sklepu z kwasem.

Robi świetny kwas, zbudowała karuzelę, stworzyła orkiestrę z czterech osiedleńców, wynalazła wśród włóczęgów kuglarza, urządziła przedstawienia, tańce i widowiska.

Nie urzędowo...

— Licho tam wie, jak ona to robi! — mówił mi nadzorca osiedlenia — przecież cały Sachalin wie, że ona sprzedaje wódkę. Ale rewizya nie wykryła nic jeszcze, oprócz butelek z kwasem.

Również wszyscy wiedzą, że ona sprzedaje i kupuje rzeczy skradzione; ale ani rewizye dzienne, ani nocne nie dały żadnych rezultatów.

Tak ona walczy o te nieszczęsne resztki życia występnego.

Bije się, jak ryba o lód, popełnia drobne przestępstwa, niegodziwości, ażeby zdobyć środki na utrzymanie dla siebie i na grę dla towarzysza.

* * *

Marzeniem jej jest — wrócić do Rosyi.

Zarzucała mię pytaniami o Odesie.

I gdym opowiadał, wyrywało się jej z piersi ciężkie westchnienie.

— Zupełnie o innym świecie pan mi opowiada... Ach, gdyby tak choć jednem okiem spojrzeć!...

— Teraz niema ona po co wracać do Rosyi — dorzucił Bogdanow, ani na chwilę nie opuszczając swojej towarzyszki podczas rozmowy ze mną, jak gdyby się bał z jej ust czegoś zbytecznego.

Czułem to. Obecność jego krępowała Zofię Bluwstein; nie domawiała czegoś.

— Chcę coś panu powiedzieć — szepnęła mi, gdy Bogdanow wyszedł do drugiej izby.

Tegoż dnia przyszedł do mnie jej „konfident,“ bezterminowy mieszkaniec przytułku, katorżnik K.

— Zofia naznacza panu schadzkę! Ja pana poprowadzę i postoję na straży, żeby Bogdanow nie zobaczył.

* * *

Poszedłem.

— Dziękuję panu! Proszę mi wybaczyć, że go utrudzam. Chciałam coś panu powiedzieć, ale przy nim nie mogę. Widział pan, co to za człowiek! Szorstki, niewykształcony; wszystko, co zapracuję, przegrywa. Bije, tyranizuje...

W oczach miała łzy.

— Porzucić go!

— Nie mogę. Pan wie, czem się trudnię. Pić i jeść trzeba. A czyż w moim procederze można się obejść bez mężczyzny? Pan wie, jacy tutaj ludzie. Jego się boją; on za 20 kop. może każdego zabić. Rozstać się!.. Gdyby pan wiedział!..

Nie pytałem. Wiedziałem, że Bogdanow był jednym z oskarżonych w morderstwie Nikitina i o kradzież u Jurkowskiego.

— Cóż miałem usłyszeć?

Nie odpowiedziała mi natychmiast.

— Proszę pozwolić myśli zebrać... Tak dawno nie mówiłam o tem... Myślę tylko, zawsze myślę, lecz mówić nie śmiem... Pamięta pan, mówiłam, że pragnę wrócić do Rosyi. Może pan przypuszcza, że znowu w dawnym celu? Nie! Jestem już stara, sił na to nie mam... Chciałam tylko dzieci zobaczyć...

Przy tych słowach polały się jej łzy rzęsiste.

— Wszak zostawiłam dwie córki. Nie wiem nawet, czy żyją. Nie mam żadnych wieści o nich. Może się wstydzą takiej matki, zapomniały — a może poumierały... Wiem tylko, że były artystkami w operetce. O Boże! Gdybym tam była, nigdyby one nie zostały aktorkami! Wiem, jaki los najczęściej spotyka tego rodzaju kobiety. Ale niech pan odszuka je i zawiadomi mnie.. Chciałam tylko wiedzieć, czy przynajmniej żyją. Boże! Tak się męczyć tu w katordze, nie wiedząc... Może się nigdy nie dowiem..

Zbrodniarki już nie widziałem.

Przede mną szlochała matka. Opłakiwała swoje dzieci nieszczęśliwe.

Łzy zmieszały się z różem, brudnym strumieniem ciekły po policzkach zmarszczonych.

O, przeklęta wyspa, na której tyle niedoli!

Tłom. *Zenon Pietkiewicz.*

KONIEC.

wania z innymi. Ale jest to chyba niemożliwem. Prawem dla człowieka jest przedewszystkiem zmienność, a w zależności od niej i w stosunku do jego istoty ciągły rozwój. Dotychczas człowiek, odkąd go znamy, wciąż postępuje naprzód i to coraz szybciej—prawda, że we wszystkich kierunkach, czyli rozwija wszystkie strony swojej istoty, zarówno dobre, jak i złe. A więc na przyszłość może być tak samo. Należy nawet oczekiwać, że nieruchomość, czy też spokój, pomimo iż zdają się być celem najodpowiedniejszym dla idei o ludzkiej godności stanem, stanem powagi, normą, są jednakże faktycznie niemożliwe bezwarunkowo; przeciwnie stałą zasadą życia ludzkiego jest zmienność i ciągłe usiłowanie przystosowania się do coraz nowych warunków życia, jeżeli już nie zewnętrznych, to wewnętrznych, które są zmienne, dzięki bodaj tylko ustawicznemu rozszerzaniu się widnokręgu jego myśli we wszystkich kierunkach.

Rozwój ludzki jest stanem nieuniknionym. A dla jego pożytku należy sobie życzyć, ażeby był wszechstronnym. Jeżeli tylko ludzkość będzie się rozwijała jednostronnie, w pewnym lub wielu nawet kierunkach, ale nie wszechstronnie, następstwa takiego stanu rzeczy muszą być niepomyślne. Jednostronność rozwoju, czyto fizycznego, czy moralnego, jest kalectwem i krzywdą w stosunku do godności człowieka, która, przedstawiając całość, staje się w tym razie tylko pewną częścią samej siebie, tylko umysłowym i moralnym ułamkiem.

W stosunku do przedmiotu niniejszej pracy należy mieć na uwadze, że kwestya rozwoju czy postępu powstaje na drodze porównania teraźniejszości z przeszłością, które nam wskazują, że obecnie jest inaczej, lub lepiej, niż przedtem było. Co zaś do nauki o celach ludzkich, teleologii społecznej, kwestya ta musi być stawiona wyłącznie na gruncie moralnym. Celem naszym nie jest, ażebyśmy wciąż dalej biernie tylko ulegali rozwojowi, ażeby w przyszłości było tylko inaczej, aniżeli obecnie; nie jest nim także tylko to, cośmy zwykli uważać za postęp, odbywający się bez naszego w nim udziału, pomimo nas, jako proces faktyczny od nas niezależny; ale ażeby w przyszłości urzeczywistniły się, o ile to jest dla nas możliwem, nasze przekonania o jedynie słusznym i dobrym sposobie życia. Nie będzie to, jakby się zdawać mogło, jednostronnością rozwoju ludzkiego, ale właśnie wszechstronnością, gdyż stanowisko takie przypuszcza z konieczności uwzględnienie wszystkich interesów nietylko osobistych, ale i obcych nam nawet ludzi, nietylko bliższych, ale i dalszych, nietylko spółczesnych, ale i tych, którzy po nas jeszcze będą istnieli; słowem, stanowisko moralne przypuszcza uwzględnienie wszystkich innych, będąc zarazem najogólniejszą ich syntezą, przytem syntezą iście ludzką, bo podmiotową, czyli taką, która tworzy sobie, wprawdzie idąc *per aspera ad ardua*, ciernistą drogą, sam człowiek.

Droga ta jest uciążliwa i męcząca, ale przyświeca nam jej cel ostateczny, który pomaga nam kierować się wśród rozdroży i wątpliwości.

Wątpliwości zaś te polegają na tem, jakie cele mamy uważać za nasze ludzkie, przedmiotowe (objektywne), czy podmiotowe (subiektywne).

Przedmiotowe cele człowieka, o ile możemy o nich sądzić, są nam jakby narzucone, musimy im tylko ulegać, nie mogąc nawet zdać sobie z nich sprawy, jako z rzeczy samej w sobie, zasadzają się na jego istnieniu, na trwaniu, a więc i na rozradzaniu się. Jako drugorzędne, a raczej jako środki, prowadzące do celu, uważamy zadosyćuczynienie potrzebom, zabezpieczającym istnienie i mnożenie rodzaju ludzkiego, (pokarm i wogóle najrozmaitsze formy używania i korzystania z materyalnych dóbr ziemskich).

Obok tych środków do głównego przedmiotowego celu, które nabierają w oczach naszych same przez się znaczenia celów pierwszorzędnych, dzięki doniosłości głosów potrzeb naszych, domagających się od nas swojego zaspokojenia, ważnem jest wszakże otoczenie moralne, atmosfera podmiotowa, liczne i różne warunki. Należą tu różne stosunki ludzi do ludzi i idealizowanie zarówno potrzeb ludzkich, jak i tych stosunków. Dość porównać fizyczną i idealną stronę miłości, ażeby zrozumieć, że materyalne funkcye mogą przybierać najzupełniej idealny charakter, który jest im samym przez się najzupełniej obcy i że tylko w tej postaci są one potrzebami ludzkiemi.

Jeżeli przypomnimy sobie także iście ludzkie osobliwości, których nie zna przyroda materyalna, jak rodzina, gmina, plemię, naród, jak język, łączący ludzi w pewne grupy narodowe, jak liczne obyczaje, nieraz dziwne i mające w obecnej chwili tylko znaczenie przeżytków, pozostałych często z nadzwyczaj głębokiej przeszłości, które nie mniej przeto są nieskończenie moralnie użyteczne; to będziemy zmuszeni przyznać, że cele podmiotowe nasze mają daleko większe znaczenie od przedmiotowych. Ostatnim ulegamy pomimowoli, pierwsze są naszą własnością, sami je sobie tworzymy, dlatego rozumiemy je dobrze i cenimy, jako coś nieodłącznego od nas samych.

Interes, jaki mamy w istnieniu, czyli w naszym celu przedmiotowym, polega nie na samem tylko istnieniu, ale na *istnieniu według naszego rozumienia rzeczy*, z naszego stanowiska, tj. ze stanowiska podmiotowego. Ten ostatni wzgląd jest daleko ważniejszy od pierwszego, a raczej jedynie ważny. Cały bowiem świat i wszystkie jego dobra mają wartość o tyle tylko, o ile ją mają w oczach naszych. Same przez się nie mają one żadnej wartości. Samo tylko istnienie, bez uzupełnienia go w sposób nam właściwy, niezidealizowane przez nas, byłoby tylko mechanicznem zjawiskiem bezwładności, właściwem całej przyrodzie, niemającej, według naszego pojmowania, żadnego własnego zrozumiałego celu. Przyroda istnieje, bo istnieje—oto wszystko, co się o niej daje powiedzieć.

Tylko więc świadome, czyli podmiotowe cele, są właściwie naszymi celami. Takie tylko mamy, jakie sami sobie tworzymy. Kto sobie celów istnienia nie stwarza, ten nie ma ich wcale. Istnieje, bo istnieje. Wszystkie inne cele i samo istnienie należą do kategoryi celów niezrozumiałych, o których, w tym, razie nie powiedzieć nie można w stosunku do naszej działalności świadomej. Chyba tylko jedno, mianowicie, że ponieważ w przyrodzie wszystko jest przyrodzonem i nic w niej innego być nie może, a więc *i świadome nasze cele są przyrodzonymi, czyli właściwymi samej przyrodzie.* Inaczej nie mogłyby w niej mieć miejsca, jako coś nadprzyrodzonego, czego wyobrazić sobie nawet nie jesteśmy w stanie.

W stosunku do innych ludzi, bo każdy z nas zosobna posiada świadome dążenie do szczęścia, cele nasze mogą polegać na uznaniu przedewszystkiem ich istnienia, a następnie na urządzeniu wspólnego naszego z nimi pożycia, zgodnie z własnym naszym świadomym celem, gdyż ten jedynie jest zgodny z przyrodą ludzką. Ten jeden cel zawieść nas nigdy nie może. Wszystkie dążności nasze, mające za cel szczęście innych, jako najzupełniej zgodne z własnymi ich celami, mogą mieć pożądane następstwa; wszystkie zaś inne dążności, wyłączające myśl o szczęściu innych, możemy uważać za zmarnowane, gdyby miały nawet doraźny skutek. Z czasem bowiem spotkać je musi ten sam los, któryśmy innym wcześniej przygotowali.

Feliks Bogacki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bajka Brandesa o nas.

Znakomity krytyk duński, autor wydanego przez nas w tłomaczeniu polskiem dzieła o prądach literatury europejskiej, Jerzy Brandes, nawiedzał nas kilkakrotnie w celu zbadania naszego życia umysłowego i społecznego. Raz nawet miał w Warszawie trzy odczyty o poezyi romantycznej polskiej, a po każdej bytności u nas w prasie duńskiej i niemieckiej opisywał swoje wrażenia, spostrzeżenia i wyniki studyów. Z tych luźnych artykułów zszył obecnie dużą książkę, która ma stanowić rodzaj wiernego zwierciadła, odbijającego w sobie nasze zbiorowe oblicze. Przeczytałem tę książkę z wielką ciekawością i zamknąłem ją z wielkim smutkiem. Bo jeżeli pisarz bardzo utalentowany, spostrzegacz bystry, usiłujący bezpośrednio zaznajomić się z istotą i kulturą obcego narodu, może przy najlepszej woli zebrać jedynie taką furę pustych kłosów frazeologii, opacznych mniemań, powierzchownych sądów i wierutnych fałszów, to jakąż wartość posiadają wszystkie podobne studya, które są dokonywane z mniejszą wiedzą, z mniejszą zdolnością i skrzętnością, a któremi zasilamy naszą wiedzę o innych społeczeństwach? Wszakże czytaliśmy wiele dzieł o Hiszpanii, Szkocyi, Norwegii, Grecyi — i zdawało nam się, żeśmy z nich poczerpali mnóstwo wiadomości pewnych, a tymczasem były to prawdopodobnie bajki z palca wyssane, mistyfikacye naszej naiwnej wiary, coś, co tak się ma do prawdy, jak nożyce do nóg. Okropne przeświadczenie!

Jest to zresztą bardzo naturalny wynik badania narodu bez znajomości jego języka. Jeżeli komukolwiek takie przedsięwzięcie wydawało się trudnem, ale możliwem, to książka Brandesa przekona go, że ono jest poprostu lekkomyślnem. Świat zwierząt skutkiem ich niemoty pozostał dla nas opieczętowany tajemnicami; ludy pierwotne, pomimo całej prostoty swego życia i stosunków, pokryte są dotąd mgłą lub mrokiem; o ile te tajemnice są bardziej nieprzeniknione, a te mgły i mroki gęstsze, kiedy chcemy poznać narody ucywilizowane, nie rozumiejąc ich mowy? Gdyby ktoś chciał opisać skarbiec w gmachu zaryglowanym, nie zajrzawszy najmniejszą szparą do jego wnętrza, nie chybiłby częściej swą domyślnością i nie powiedział więcej banialuk.

Chociaż Brandes jest synem narodu maleńkiego, nieodgrywającego pierwszorzędnej roli, a więc uprzytomniającego mu wszystkie niebezpieczeństwa wyrokowania o społeczeństwach poznawanych na migi, jednakże jako pisarz europejski przystąpił do sądzenia nas z lekceważeniem. Pomimo gorącej, entuzyastycznej sympatyi, jaką nam okazuje, uznaje nas za *une quantité negligeable*, za ciekawą bagatelę ogólnej cywilizacyi, za ustronny zaścianek, który można nawet lubić, ale który należy traktować z dumą i protekcyjną wspaniałomyślnością. Nie przypuszczał, że po tej parafii przepływają nowoczesne prądy myśli, że ona je odczuwa natychmiastowo, że nawet im się poddaje zbyt uległe, że nie wyrzeka się ani na chwilę

doganiania ogólnego postępu, że ona więcej wie, niżby można wnosić z pozorów. Udzielając przyjacielskich rad naszej literaturze, życzy jej, ażeby ona stała się bardziej „modern.“ Pomijam, że jest to rada zbyt modniarska, zbyt bezkrytyczna, właściwsza dla spódnicy i kaftanika, niż dla literatury. Ale ona zdradza mniemanie Brandesa, że nad Wisłą ludzie nie znają jeszcze żórnalów z nad Sekwany, Tamizy lub Sprewy, że ubierają swe dusze według starych wzorów, które teraz dopiero z makulaturą dostały się do prowincyonalnego zaścianka. Jemu się zdaje, że nasze muzy chodzą jeszcze w krynolinach, które w świecie szyku już dawno zarzucono; nasi krytycy ani się domyślają, że wymagania estetyczne uległy przemianie, nasi dramaturgowie tworzą w „starym stylu,“ nasi powieściopisarze—nawet Sienkiewicz — fabrykują romanse a la Dumas „bez końca.“ Cóż im i o nich może powiedzieć umysł, wystrojony według „ostatniej mody“? Te wasze krynoliny i do pięt sięgające fraki są dobrze zrobiono, ale przestarzałe. Trzeba być „modern“!

Rzeczywiście Brandes zrozumiał, że bez znajomości języka nie wybrnie o własnych siłach z kłopotu analizy piśmiennictwa, którego zaledwie drobna cząsteczka przełożona została na języki mu dostępne, że musi uciec się do cudzej pomocy, przybrać sobie tłomacza. Jak sam wyznaje, klucze do Sezamu znalazł w pewnym zamożnym i elegancko urządzonym domu wiejskim, w którym gospodarz, gospodyni i ich goście znali tak swoje społeczeństwo, jak pszczelarz własną pasiekę. Przez kilka też tygodni otwierali przed turystą duńskim ul za ulem, opowiadali mu początek, losy, prace i plony każdego społecznego i literackiego roju, a on uważnie słuchał i skrzętnie zapisywał. Z tego powstała wielka, kilkusetstronicowa... mistyfikacya naprzód autora, a potem czytelników jego książki. Nie twierdzę bynajmniej, ażeby ci państwo, u których Brandes przebywał, te Aryadny, które go wiodły przez labirynt polski, nie posiadały żadnej kompetencyi lub chciały wyzyskać jego niewiadomość w jakichś celach osobistych. Nie, Brandes znalazł się śród ludzi wykształconych, ale dyletantów, dla których badanie społeczeństwa stanowiło jedną z rozrywek i którzy tak je obserwowali, jak naturę w rozmaitych jej widokach podczas rannych i wieczornych spacerów. Niewątpliwie mieli oni pewien zapas spostrzeżeń o piśmiennictwie, stronnictwach działaczach itd., tak jak je mieli o wschodzie i zachodzie słońca lub kolorycie jesieni i zimy. Do tej epikurejsko-pańskiej oazy przedostawały się pojedyncze echa gwaru życia i pojedyncze jego promienie, ale one brzmiały i załamywały się według praw istoty tego środowiska, często tłumione lub zbyt krzykliwe, przyćmione lub zbyt rozżarzone. Żaden dom, nawet posiadający obfitą bibliotekę i nowości księgarskie, nie może być ekranem, na którym odbijałby się cały naród, a tem mniej jakieś eleganckie „towarzystwo,“ które zbiera tylko „wrażenia“ i dogadza swym „gustom.“ Brandes o tem zapomniał i nie spostrzegł, że zamiast być badaczem, stał się instrumentem, na którym jego znajomi wygrywali własne i nie zawsze zgodnie nastrojone melodye. Powstało z tego *pot-pourri* bardzo zabawne. Tak np. nie czytał on naturalnie nic S. Tarnowskiego. Ale p. Tarnowski jest pisarzem, o którym wiele się mówi w salonach i którego się wysławia, „nawet nie podzielając jego przekonań.“ Więc radykał duński, nie przeczuwając, kim jest mdły deklamator i zuchwały Stańczyk, mianuje Tarnowskiego najznakomitszym krytykiem, a nie wspomina wcale o Chmielowskim, którego również nie zna.

Przed kilkunastu laty pewnemu lekarzowi przyszedł kaprys pisywania w *Gazecie polskiej* sprawozdań teatralnych, które nie wyrastały po nad miarę sądów inteligentnego bywalca, które jednakże w otoczeniu autora i pewnych salonach uważane były za coś arcymądrego i dowcipnego. Wkrótce znudziły mu się te szybko więdnące wawrzyny i z literata przedzierzgnął się znowu na gospodarza. Brandes, który, rozumie się, jego artykułów nie czytał, a któremu w „pałacu“ zrobiono z nich wielki wypadek, nietylko postawił Ignotusa na czele krytyków teatralnych w Warszawie, ale nawet wysnuł ogólną teoryę przemian w karyerach Polaków.

Również przed kilkunastu laty Witkiewicz narobił w *Wędrowcu* chwilowej wrzawy rozprawą o malarstwie, obok niego zaś kilku autorów wypuściło szereg strzał polemicznych. Brandes, który tych filipik nie czytał, przedstawia kampanię *Wędrowca* za nową epokę w naszem życiu umysłowem, a jej twórców uważa za sławnych reformatorów, daleko sięgających w przyszłość swą zasługą i wpływem.

Na „dworze,“ którego był gościem, panował zbytek: damy przebierały się trzy razy dziennie, a żadnej nie widział Brandes w tej samej sukni przez kilka tygodni swego pobytu. Ta obserwacya daje mu podstawę do wnioskowania o zamożności i elegancyi rodzin obywatelskich u nas. I tak dalej.

Pochodzenie wiadomości zdradza się nietylko w naturze wątku, ale i w sposobie jego rozsnuwania się. Wszystko, co mogło być przedmiotem paplaniny salonowej, bez wyboru, ustopniowania i ładu weszło do książki. Tyle miejsca i uwagi poświęca Brandes powieściom Sienkiewicza, ile jego rozwodowi i powodzeniu u kobiet, które go uczyniło „lombardem serc niewieścich.“ Poważny badacz regestruje najmizerniejsze plotki, jakie w danej chwili krążyły po Warszawie. Pomimo tytułów nad rozdziałami, mających grupować treść, mówi jednym tchem o Brzezickiej, księżach, Edmundzie About, W. Bogusławskim itp., uogólniając ciągle pojedyncze wypadki. Jakaś matka wywiozła z Warszawy do Francyi córkę i tam ją puściła w obieg — Brandes wyprowadza regułę o charakterze Polek. Najbardziej powikłane zagadnienia rozstrzyga nieraz anegdota, która jest ulubioną barwą w jego obrazach.

Wogóle rzec można, że nawet te zjawiska, które Brandes dostrzega, przedstawiają mu się luźnie, rozłącznie i bezprzyczynowo, nie może ich bowiem powiązać niemi dyletantyzmu, dostarczonemi przez informatorów i zczepia je frazeologią. Stosunkowo najwięcej trafnych uwag zrobił o literaturze, gdyż tu mu pomogła zawodowa wprawa i przenikliwość, a nadto pewna wiedza, zaczerpnięta z przekładów. Ale i tu — jak widzieliśmy — potyka się ustawicznie i wyrokuje powierzchownie. Piśmiennictwu naszemu (beletrystyce) zarzuca głównie: 1) że ono obraca się przeważnie około kwestyi bytu; 2) że maluje nieszczęścia zewnętrzne, a pomija walki wewnętrzne; 3) że nie jest dość wesołem i 4) dość nowoczesnem. W zarzutach tych ujawnia się albo nieznajomość życia, albo nieznajomość utworów. Gdyby Brandes nauczył się po polsku i przeczytał ważniejsze dzieła naszej literatury, przeraziłby się sam własnymi sądami i nie czuł wdzięczności dla swych suflerów.

W całej jego książce uderzyła mnie tylko jedna bardzo trafna uwaga. Mówi on o Polakach z epoki ponapoleońskiej: „Taki młodzieńczy albo nawet dziecinny entuzyazm nie był wcale pierwiastkiem sprzyjającym podczas wielkiej walki narodów w okresie przemysłu i militaryzmu. Nie godzi on się z oszczędnością, przedsiębiorczością, karnością, mieszczańskim rozumem i umiarkowaniem, z właściwościami, które utrwalają byt jednostek i państw.“

Amicus Plato, sed magis amica veritas. Cenimy wysoko prace Brandesa i kierunek jego działalności; wdzięczni mu jesteśmy za głęboką sympatyę i szczery zapał dla nas; ale nie możemy przemilczeć o tej nieprawdzie, w jakiej nas światu przedstawił i o tem lekceważeniu, z jakiem nas osądził. Naród duży, posiadający tysiącoletnią własną kulturę, mocne pulsy życia i niezwykłe siły umysłowe, jest dla badacza przedmiotem zbyt poważnym, ażeby go można było uczynić bohaterem zwyczajnej bajki, z paplanin salonowych wysnutej.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

JAŁOWA NIWA.

Wyznaję, że w chwili obecnej nie znam jałowszej nauki, niż socyologia ogólna. Jej wywody to istotne przelewanie z próżnego w puste. Gdy pojedyncze działy socyologii szczegółowej, a więc badania nad początkami rodziny, własności, pojęć filozoficznych, dokonały znacznych postępów w ostatnich czasach, nauka, która ma dać ogólne pojęcie o naturze stosunków społecznych, nie posuwa się naprzód wśród czczych zaciekań i pustych rozmyślań. I gdyby miało tak trwać zawsze, to można byłoby, bez wielkiego uszczerbku dla wiedzy, zupełnie ów dział wykreślić. To co tam jest w rzeczy samej pożywnego, dałoby się zawrzeć w kilku arkuszach i nie potrzebowałoby całych półek na pomieszczenie treści swojej. Bankructwo myśli mieszczańskiej może nigdzie nie ujawniło się z taką mocą, jak właśnie na tem polu. Zajmuję się socyologią od lat wielu i sądzę, że znam każdą ważniejszą pracę w tej sferze nauki, a jednak, gdyby zażądano ode mnie wskazówek co do studyów, to, o ile rzecz chodzi o socyologię ogólną, nie umiałbym wymienić ani jednego tytułu, któryby mnie zadowolił. To zaś, co przedstawia wartość, w gruncie rzeczy jest pracą albo z zakresu antropologii, albo socyologii szczegółowej lub ekonomii politycznej.

Parę tych uwag nasunęło mi się z powodu świeżej książki Tarde'a, socyologa, posiadającego dzisiaj imię europejskie, tj. takie, od którego inni zapożyczają światła i powagi. Mniemam, iż ktoby rozstrzygnął pytanie, czemu tego rodzaju zaciekania mają wzięcie, napisałby zajmujący przyczynek do psychologii naszej doby. Zresztą nie chcę zaprzeczać pisarzowi francuskiemu wielu cennych przymiotów. Książki jego świadczą o bardzo wielkim dowcipie, umiejętności zbliżeń i porównań, o subtelności. Zwłaszcza w jego *Logice społecznej* są całe rozdziały, które pozostawiają o autorze wrażenie zręcznego woltyżera, z niezmierną łatwością przesadzającego przeszkody. Ale taka, bądź co bądź, niecodzienna giętkość umysłu porusza się w pewnem zaczarowanem kole, z którego nie jest zdolną wydostać się. Dokonane zestawienia są prawdziwe, zaznaczone zjawiska są rzetelne; ale niestety, wszystko to jest bardzo jałowe. Przestudyowawszy wszelkie prawa naśladownictwa i opozycyi, poznawszy logiki społeczne, ani na krok nie posunęliśmy się w wiedzy o społeczeństwie — więź społeczna, prawa jej rozwoju, rodowód idej i sposób wcielania się ich w życie, stosu-

nek jednostki do dążeń masowych, znaczenie pojedynczych osób itd. słowem, wszystko, co socyologii nadaje życie, pozostaje niewyjaśnione. Gdyby Tarde streścił na paru arkuszach zasadniczy wątek wywodów swoich, byłby to ciekawy rozdział większej pracy, poświęconej przyrodzie społeczeństwa, lecz treść ta, rozwałkowana na przestrzeni setki arkuszów, staje się ckliwą i pustą. Urozmaicają ją tylko fortele dowcipów, które rozjaśniają wątek, jak latarnie — mroki nocy.

Świeżo wydana książka *) o prawach społecznych nosi szumny nagłówek „zarysu socyologii." Jest to rodzaj uzupełnienia trzech najważniejszych prac Tarde'a — dziełko, które powinno wyjaśnić związek, istniejący pomiędzy niemi.

Jak Lyell usiłował wykazać, że warstwy geologiczne skorupy ziemskiej tworzyły się za pośrednictwem drobnych zmian; jak Darwin zrobił to dla rozwoju królestw organicznych, tak samo badacz francuski stara się nieskończenie drobne czyny postawić jako zasadę ewolucyi społecznej. „Wszystko wypływa z pierwiastków nieskończenie małych i jest rzeczą prawdopodobną, iż wszystko tam powraca." „Z przeciwnikami wpływów osobistych w historyi — powiada on — możemy się zgodzić o tyle, że sfałszowano procesy dziejowe, mówiąc tam o wielkich mężach, tymczasem gdy należało mówić o wielkich ideach, które zjawiły się w malutkich ludziach, i nawet o małych ideach, o nieskończenie drobnych zmianach, wniesionych przez każdego z nas do wspólnego dzieła. W gruncie rzeczy my wszyscy, a przynajmniej wszyscy pracowaliśmy nad wzniesieniem gmachu, który nad nami panuje i nas chroni; każdy, nawet najprawowierniejszy, ma własną religię, własny język i własną moralność; najlichszy uczony posiada własną wiedzę, najrutyniczniejszy przedstawiciel administracyi — zasady rządzenia. Wkłada on także własny wynalazek drobny, świadomy lub bezwiedny, do wiekowego spadku społecznego, którego jest chwilowym chronicielem i pozostawia po sobie mniej lub więcej ograniczone koło naśladowców, wydłużające się po za kres jego żywota."

Teoryę tą, nieskończenie małych pierwiastków, G. Tarde usiłuje dowieść dla wszelkiego rodzaju procesów społecznych, których wyróżnia trzy kategorye: powtórzenie, opozycya i przystosowanie się. W każdym punkcie natury społecznej, tj. w każdym mózgu, powstaje drobna zmiana, „wynalazek," drogą naśladownictwa powtarza się ona w coraz liczniejszych mózgach, jeśli nie spotka odwrotnego prądu, który ją zniesie przez opozycyę, i w nich zlewa się z innemi falami naśladowniczemi — przystosowuje się — ażeby wytworzyć ośrodek nowego wynalazku. Są to trzy wyrazy zastępu kołowego, zdolnego do nieustającego odnawiania się. I właśnie Tarde mniema, że historyozofia obecna, poszukując w dziejach powtórzeń, opozycyj, przystosowań się, brała odrazu rzecz z niewłaściwego punktu widzenia, bo wymagała tych procesów na wielką skalę — przeciwstawiano chrześciaństwo światowi klasycznemu, kazano powtarzać się wielkim cyklom historycznym. Tymczasem trzeba zejść do sfery nieskończenie małych przebiegów, ażeby tam odkryć systematyczność powtórzeń, przejściową naturę opozycyi i zlanie powtarzających się pierwiastków w przystosowaniu wzajemnem. Postęp nauk społecznych polega na zamianie wielkich powtórzeń lub opozycyj, będących w niewielkiej liczbie, przez wielką liczbę drobnych, wprost niedostrzegalnych procesów. Zamiast wielkich starć, trzeba wziąć drobne, odbywające się w każdym mózgu, a „takie wahanie się, taka drobna utarczka wewnętrzna, powtarzająca się w milionowych okazach w każdej chwili życia narodowego, stanowi nieskończenie małą i nieskończenie wydajną opozycyę, bo wprowadza do socyologii przewrót spokojny a głęboki." „Szczegóły drobne czynów ludzkich jedynie przedstawiają godne uwagi przystosowanie. Wogóle jest więcej logiki w pojedynczem zdaniu, niż w całej rozmowie; w rozmowie, niż w szeregu rozmów; więcej w specyalnym obrzędzie, niż w całem wyznaniu wiary; w pojedynczym artykule, niż w kodeksie; w pewnej teoryi naukowej, niż w całej wiedzy."

To uwydatnienie doniosłości pierwiastku nieskończenie małego jest głównym rysem nowej książki Tarde'a. Dawne były poświęcone właśnie uwydatnieniu mechaniki powtórzeń, opozycyj i przystosowań. Pisząc niegdyś o pewnem dziele badacza francuskiego, zaznaczyliśmy, iż do wyjaśnienia życia społecznego przenosi on teoryę falowań eteru: otrzymujemy takie same interferencye ideowe, jak wśród drgań eteru ruchowe. Mamy „załamywania" powtórzeń, pojedynki i sojusze ideowe, gramatyki i słowniki — całą terminologię, mającą streścić w sobie mechanizm psychiczny życia gromadnego. To wszystko pozostało po za obrębem pracy obecnej, jako rzecz dana i wiadoma, jedynie rozwinięto wzajemny stosunek tych zasadniczych procesów. Wszystko to są rzeczy słuszne, niekiedy na przestrzeni całych rozdziałów nie znajdujemy żadnego zarzutu przeciw podanym wywodom, tylko czujemy czczość takich praw, które raczej zamulają mózg, aniżeli uczą go czegoś o istocie więzi społecznej.

L. K.

*) G. Tarde: „Les lois sociales. Esquisse d'une sociologie" (w *Bibliotheque de la philosophie contemporaine*). Paryż.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Emil Zola: *Paris*. Paryż 1898.

Paryż Emila Zoli jest ogromnie podobny do tych worków ze zbożem, które niekiedy sprzedają się na targach naszych miasteczek. Z wierzchu ładne, dorodne ziarno, aż miło patrzeć. O kilkanaście cali niżej przestraszająca mieszanina. Poślad, plewy, stokłosa, śnieć i zrzadka tylko coś uczciwszego.

Pierwsze rozdziały powieści robią dobre wrażenie. Silnymi i energicznymi rysami autor kreśli dwa światy, jeden poddasza i podziemi, nędzy i zgnębienia, drugi pałaców, zbytku, wyuzdania i spodlenia. Nawet niezgrabny terminator szewcki, który łączy owe kontrasty uchodzi na razie uwadze. Postacie wyglądają na żywotne. Potem poziom artystyczny utworu spada. Osoby zamieniają się na manekiny lub cienie, filozofia wykoszlawia się, a na dobitek zaczyna pieścić duszę katarynka melodramatu.

Tyle można powiedzieć o powieści samej w sobie. Lecz jest ona zarazem zakończeniem cyklu „Trzy miasta." W niej ma się dokonać przełom w duszy bohatera: księdza Piotra. Dokonywa się, ale dla tego, że tak chce Zola. Warunki, w jakich autor postawił Piotra, niezbyt współdziałają jego zachęceniu.

Piotr, trawiony wątpieniem o „Lourdes," nie bardzo zbudowany tem, co widział w Rzymie, nie zwiększa i w Paryżu kapitału swej wiary. Oddany jest jak dawniej gorąco swemu zawodowi kapłańskiemu, lecz walka między religijnością i krytyką wciąż z nim się toczy.

W tym stanie duszy spotyka księdza Rose'a, który prosi go, aby zaniósł trzy franki jałmużny jednemu z jego ubogich, nazwiskiem Laveuve. Piotr zgadza się i jego wędrówka, najpierw do starych ruder Montmartre'u, gdzie ma odszukać owego starca, potem do rozmaitych pań i deputowanych, zarządzających przytułkiem, w którym Piotr chciałby go umieścić, jest szopką.

W czasie jego zabiegów umiera Laveuve, a z nim, rzekłbym, lepsza część „Paryża." Bo z chwilą kiedy Zola od statyki swej powieści przechodzi do dynamiki, gdy przedstawione jednostki wprawia w ruch, występuje w całej pełni jego nieudatność w dziedzinie psychologii. Zamieszkały w tymże domu, co Laveuve, robotnik Savlat wysadza w powietrze ścianę pewnego domu bankierskiego, równocześnie w Izbie interpelacye dotyczące kolei saharskich (czytaj: południowo-francuskich) obalają ministeryum. Bieg tych dwu spraw ogólniejszych (zbyteczna zaznaczać, że „dokumentów ludzkich" dostarczyły tu ostatnie lata Francyi) i dwu podrzędnych skupia teraz na sobie uwagę czytelnika. Podrzędnemi są: romans miłosny żony bankiera Duvillarda z pewnym zdechlakiem arystokratycznym, który dla poratowania fortuny postanawia ożenić się z jej — nienawistną dla niej i ułomną — córką; następnie sprawa utrzymanki męża, Sylwiany, artystki z komedyi francuskiej, dopominającej się koniecznie roli z „Polyeucte'a." Wnikają w nie jeszcze dzieje stosunku Piotra do brata Wilhelma i jego rodziny, ale te należą właściwie do części trzeciej.

Słowem, ten środkowy dział powieści wygląda jak partya gry w obręcze. Cztery obręcze latają z księgi do księgi, z rozdziału do rozdziału, a czytelnik może śledzić okiem jeden, dwa, lub jeśli go to bawi, wszystkie. Nareszcie partya skończona: Salvat schwytany i ścięty. Ratuje to jednego z dawnych ministrów, bo urządziwszy odpowiednio nagankę, wyrasta na zbawcę społeczeństwa i może wskutek tego stać się prezydentem następnego gabinetu. Sylwiana korzysta także, gdyż nowy minister sztuk pięknych daje jej rolę. Ewa zaś musi doczekać się chwili, gdy bolesny dla niej związek dochodzi do skutku.

Już choćby owa ilość spraw, to zaprzątnięcie uwagi dziejami zewnętrznemi, usuwa na drugi plan przedstawienie charakterów i dusz. Istotnie, ludzie „Paryża" mają tylko nazwiska i niemi się różnią. O pogłębieniu ani mowy. Ale i trzecia część powieści, gdzie o psychologię było łatwiej, nie daje nam żadnego zadowolenia.

Rozumiem pod nią księgi końcowe, w których akcyaześrodkowywa się około Piotra.

Niewierzący, jak widzieliśmy z początku, traci wreszcie ufność i w znaczenie dobroczynności, gdy Laveuve prawie dogasał w czasie odwiedzin, więc zgonu można się było spodziewać. Czyli: przykład nie najszczęśliwiej dobrany. Dojść zaś po tym wypadku do wniosku, który wypowiada Piotr później przed księdzem Rose: „litość dziś niema żadnego znaczenia; Chrystus żył w innem społeczeństwie, niż nasze, jego nauki do innego środowiska nadawały się" — są dosyć dziwne. Nie wchodzę w polemikę zasad, zaznaczam tylko tę kruchość logiki Piotra.

Inny jeszcze czynnik oddziaływa na jego umysł, *Cherchez la femme.* Wilhelm wziął niegdyś na wychowanie sierotę Maryę. Gdy podrosła, zapłonął ku niej afektem (coś podobnego jest w „Doktorze Pascalu"), co Marya życzliwie przyjęła. Wkrótce ma się odbyć ich ślub. Wtedy wchodzi do rodziny brata Piotr. Pisarz nie kreśli ani rozwoju oddziaływania wza-

jemnego Piotra i Maryi, ani powstania i wzrostu ich uczuć. Pewnego dnia, gdy Piotrowi niewygodnie w sutannie, Marya mówi: „to proszę ją zdjąć“ i po powrocie do domu słowa owe nabierają dla niego takiej doniosłości, że nazajutrz przychodzi jako świecki. To pierwszy bezwiedny objaw miłości. Potem odbywają razem wycieczkę na bicyklach i znowu wróciwszy do domu (tu pocieszny hymn na cześć kolarstwa), Piotr z rozpaczą spostrzega, iż kocha Maryę. Drugi moment miłości. Jak wszyscy zakochani u Zoli, płaczą obficie, ale Wilhelm, który domyślał się, iż taką będzie końcowa pieśń epopei bicyklowej, przychodzi i zrzeka się swych praw względem Maryi — naturalnie wylewa przytem także jakie pół litra łez — Piotr żeni się z Maryą, przyroda błogosławi ich związkowi i potem „żyli, żyli“ i t. d.

Kto badał duszę ludzką, ten wie, jak wszystkie stany budzą się w niej stopniowo, jedne raźniej, inne wolniej, ale zawsze z niezliczoną ilością przejść. Czyżby Goncourt, Dostojewski, Shakespeare albo Słowacki pozwolili sobie ułożyć całą historyę miłosną z trzech lub czterech kołków?

Skąd tytuł — część czytelników mogła już odgadnąć. Powieść Zoli ma być epopeą Paryża, ma streszczać życie stolicy, a zarazem zawrzeć ideał, według którego to życie winno się rozwijać. Lecz czy w Izbie, w rodzinie Davillardów, w Salvacie i w księdzu Piotrze zamknął się cały byt paryski? Ze względu na szumny tytuł możnaby więcej żądać. To też autor wprowadza swego Piotra jeszcze do laboratoryum w Sorbonie i pokazuje kilku symbolistów i artystów. Hojny!

Ów zaś ideał jaki ubogi! Piotruś poślubia Marysię i mają syna. Czy na tem życie się kończy? Załóż rodzinę mieszczańską, ślęcz jeszcze potroszę — jak Wilhelm — nad jakim wynalazkiem i już spełniłeś swe obowiązki. Przytem jedz, pij, używaj dóbr doczesnych...

W. Bugiel.

NOWOCZESNY SAWONAROLA.

(Luźne uwagi).

***

II.

Mówiliśmy wyżej, że starczy umysł Tołstoja podlega rozkładowi. Ale nie jest to bynajmniej rozkład zwyczajny. Niepośledni umysł ma swoje specyalne prawa. Jest on wielkim nawet w swoim rozkładzie, który dotyczy tylko zmienionej dziwacznie treści jego poglądów, jego prostolinijności w dowodzeniach, paradoksalności jego zapatrywań, opanowywującej go manii wielkości, która podszepnęła mu myśl poprawiania ewangelii *), jego pewności, że posiadł prawdę absolutną, łatwości, z jaką przeskakuje przez przepaście logiczne, pogardy, z którą odwraca się od wiedzy nowożytnej, lekkomyślności w traktowaniu historyi, której całe epoki zapomina lub opowiada po swojemu. Ale po za tem Tołstoj zachował ogromną siłę wymowy, olbrzymią powagę słowa, przedziwną jasność wykładu i świetne pozory nieubłaganie konsekwentnej metody. Przytoczyliśmy powyżej kilka cytat z jego traktatu, na które czytelnik zapewne wzruszył ramionami z uśmiechem. Zapewne niejednemu wydały się one oczywistymi nonsensami. A przecie wrażenie byłoby zupełnie inne, gdyby cytaty owe wyczytane zostały nie w oderwaniu, lecz w spojonym doskonale wykładzie Tołstoja. Jako wyjęte z całości frazesy rażą one niewątpliwie, ale jako wniosek z misternie usnutych przesłanek, wypowiedzianych jasno, dobitnie, w uporządkowanym szeregu tez i dowodów, nabierają one pewnej mocy przekonywającej. Potrzeba znacznej uwagi i znacznej pracy myśli, aby im się nie poddać. Przesłanki Tołstoja tak chwytają za serce, tak nęcą umysł, że wnioski zdają się nieodparcie koniecznymi. Czytelnik czuje, że cały gmach jego wierzeń zaczyna trząść się w swoich posadach i nawet ten, co nie chce przyjąć wniosku, z trwogą powiada do siebie: „a przecież to jest tylko wniosek logiczny z przesłanek, których odrzucić niepodobna: najoczywiściej błądziłem — a ten człowiek otwiera mi oczy.“

Wielką moc wymowy Tołstoja wskazuje przykład jego „Kreutzerowskiej sonaty.“ Stworzyła mu ona całe koło wyznawców, a przecie głosiła tezy jeszcze trudniejsze do przyjęcia, bo przeciwne naturze, zmysłom człowieka. Wiemy, jak silnie oddziałała na młodzież, zwłaszcza płci żeńskiej. Na różnych punktach Europy zdarzyło się kilka wypadków samobójstw młodych dziewcząt, przerażonych odmalowaną przez Tołstoja grozą grzesznych uciech płciowych.

Czy obecny traktat, wydany w książeczce taniej (60 kop.), nie znajdzie się w rękach tysięcy ludzi młodych? Czy blask imienia Tołstoja i jego autorytet, który trwoży nawet przysięgłych krytyków, ludzi dojrzalszych i wyrobionych, nie oddziała mocniej jeszcze na umysły młode? Czy prasa nie przyklasnęła głębokim myślom autora i w tem nowem dziele? Czy łatwo będzie nie pomieszać z głębokiemi i niegłębokich, tak doskonale stopionych z tamtemi?

Napad na estetykę i na dzieła sztuki nie jest zjawiskiem pierworodnem w obecnej literaturze rosyjskiej. Już w latach sześćdziesiątych bieżącego wieku sławny Pisarow porobił znaczne wyłomy w teoryach estetycznych. Ostrem piórem, z ogromną werwą napisał on swoje „Mane, Tekel, Fares“ na gmachu estetyki. Zdawało mu się, że gmach ten zburzył całkowicie. Bezspornie miał wielką dozę słuszności, ale zapał dowodzenia uniósł go tak daleko, że muzykę co do wartości porównał ze sztuką kucharską, przygotowującą smakołyki dla podniebień bogaczów. Puszkin, który literaturze rosyjskiej dał utwory nieśmiertelne, który wykształcił i wzbogacił język, który kilku pokoleniom dostarczył nieocenionej rozkoszy duchowej, który podniósł świadomość narodową, który społeczeństwo swoje odciągnął od francuszczyzny, od mozolnych wypracowań Łomonosowa, od pseudoklasycznych wyrobów Dzierżawina, od fałszywej ckliwości Karamzina, od naśladowanego romantyzmu Żukowskiego i mocą swojego geniuszu dał pęd nowej literaturze, opartej na podstawie narodowej — ten Puszkin wydawał się Pisarewowi pasorzytem gorszym, niż wydaje się dziś Tołstojowi, któregogniewa tylko pomnik, postawiony nie wiedzieć za co pierwszemu poecie rosyjskiemu.

I ów jednostronny Pisarew, dzięki zapałowi młodości, tryskającemu z jego utworów, dzięki werwie błyskotliwego pióra i znacznemu zasobowi wiedzy przyrodniczej, potrafił pociągnąć za sobą szeregi zwolenników. Ówczesna młodzież brawurowała swoją niechęcią dla poezyi, strąciła z tronu literatury Puszkina i wyłoniła z siebie karykaturalny typ nihilisty, odmalowany z taką prawdą przez Turgeniewa w osobie Bazarowa w „Ojcach i dzieciach.“

A jeżeli taki wpływ posiadał młodzieńczy Pisarew, to czy poważne słowo wielkiego starca z Jasnej Polany, bogatego doświadczeniem życiowem i imponującego szlachetnością swego życia, nie powinno oddziaływać silniej i mocniej? Jeżeli tamten, występując w imię ciemnego utylitaryzmu, zdołał pociągnąć znaczne koła czytelników, to jak głęboko musi wryć się w serca i w umysły ten, który teorye swoje opiera na szerokiej podstawie moralnej, na szczerej miłości dla upośledzonych mas, na popularnem haśle postępu ludu i zjednoczeniu ludzkości, wreszcie na słowie bożem — na ewangelii. Boć z takich źródeł biorą początek rozumowania Tołstoja i dlatego tak mocno działają. Wyznajemy, że znacznej mocy potrzeba, aby nie poddać się jego poglądom i z zimną krwią odszukiwać szwy w sympatycznej szacie, w którą spowija swoje idee.

Przeżywamy wiek wielkich wstrząśnień socyalnych. Uczeni, wierzący w to, że historya obraca się w kółko, zapowiadają nam, że nadejdzie kiedyś epoka, podobna do ostatnich chwil cywilizacyi rzymskiej. Jeszcze raz kultura zostanie zniszczoną. Jeszcze raz zjawią się barbarzyńcy, którzy wyważą cywilizacyę z posad. Tylko nie będą to barbarzyńcy-przybysze ze stepów Azyi. Zdaniem George'a, przyszli wandalowie są w Europie: wyciągają oni dziś ręce po jałmużnę pod murami uniwersytetów i muzeów, na ulicach oświetlonych latarniami, w blasku których widać ich twarze posępne i łachmany żebracze.

Nie chce się temu wierzyć. Na czele mas stają zwykle bardziej inteligentni przywódcy. A w parze z inteligencyą idzie zawsze, zdaniem naszem, cześć dla utworów sztuki, dla arcydzieł literatury, dla pięknych posągów i wspaniałych płócien. Na tem opiera się nasza nadzieja, że muzea, kryjące skarby cywilizacyi, unikną zagłady, cokolwiek przyszłość nam przyniesie.

A przecież taka książka, jak ta, którą napisał Tołstoj, powiada nam: „Porzućcie tę nadzieję. Wasza kultura jest kulturą zepsutych wyższych warstw społecznych. Wasze arcydzieła są zbytkiem bogatych. Dla ludu są one obce i muszą być obcemi na zawsze. Są one niepotrzebne i znikną.“ Naszą wiarę w to, że to piękno, które myśmy poznali, może i powinno stać się pięknem i dla ludu, każą nam uważać za złudzenia. Nie powiadają już, żeśmy niesłusznie zmonopolizowali sztukę, ale że sztuka nasza jest fałszywą. My czujemy, że powinniśmy nauczyć lud cenić naszą sztukę. Odpowiadają nam: „To sztuka przerafinowanych klas społecznych. Musicie ją postradać. Skazaną jest ona na zagładę nieuchronną.“

A teraz niech czytelnik osądzi, czy książka, szerząca tego rodzaju idee i wypowiadająca je z mocą, którą posiada ogromny talent pisarski, z niezmierną dowodową siłą jasnego wykładu, oddziaływająca na młodzież inteligentną, nie może sprawić, że owa wróżba przy pewnym zbiegu wypadków zamieni się na rzeczywistość? Dość, aby odpowiednie idee przeniknęły do umysłów. Nowożytny Sawonarola miałby więc i moc działania...

Czy naprawdę niema żadnego niebezpieczeństwa?

Mnie się zdaje, że jest i że wymaga odparcia.

Chciałbym posiadać ogromną moc argumentacyi Tołstoja, aby osłonić białe, marmurowe posągi...

Spróbujmy, o ile potrafimy, wyjaśnić, dlaczego poglądy Tołstoja wydają się nam błędnymi. W tym celu należy je wyłożyć tutaj chociażby w krótkiem streszczeniu. Jego traktat dotyka mnóstwa wiecznie ciekawych zagadnień etycznych i estetycznych; sądzę więc, że rozbiór poniższy zajmie i czytelnika polskiego. Autor w zakończeniu oznajmia, że praca jego jest owocem *piętnastu lat* studyów i rozmyślań. Bądź co bądź, warto poznać rezultaty tak poważnych badań w dziedzinie estetyki

*) Istnieje ewangelia w wydaniu przejrzanem i poprawionem przez Tołstoja, opatrzona całym szeregiem jego komentarzy.

człowieka tej miary. Poglądy jego zbudziły już powszechne zainteresowanie daleko po za granicami Rosyi. Ocena ich stanowić może zajmujący przyczynek do psychologii umysłowości rosyjskiej; poucza, jaki jest kierunek myśli na Wschodzie.

Umiejętnie rozpoczyna swoją pracę Tołstoj, stawiając nam przed oczy obraz, który nawołuje do zastanowienia się. Opowiada on wrażenia swoje z generalnej próby przedstawienia jakiejś pompatycznej opery. Brak miejsca nie pozwala nam na powtórzenie mnóstwa charakterystycznych i barwnych szczegółów, zebranych przez autora. Widzimy poruszające się na scenie setki pomalowanych i cudacznie wystrojonych mężczyzn w trykotach, uwydatniających łydki i golenie, oraz kobiet „z obnażonemi, jak zwykle, do ostatniej możliwości ciałami." Odbywa się repetycya uroczystego pochodu: „wszyscy wychodzili z pewnego miejsca, szli wkoło i wreszcie zatrzymywali się." Pochód długo nie udaje się: Indyanie z halabardami to wychodzą za późno, to za wcześnie, to nazbyt się gromadzą, to zbyt się rozpraszają, to skupiają się jak należy, ale niewłaściwie grupują się po bokach sceny — za każdym razem wszystko zatrzymuje się i rozpoczyna na nowo. I za każdym razem jakiś jegomość, stojący na czele chóru, wyśpiewuje ponownie: „ja narzeczo-o-o-o-ną pro o-wadzę!" Potem nowe tysiączne przeszkody: to sfałszuje waltornia, to skrzypce w orkiestrze, składającej się z kilkudziesięciu ludzi. I znowu rozpoczyna się już doprowadzony do porządku pochód i na nowo brzmi: „ja narzeczo-o-o-o-ną pro-o-wadzę!" Tylko tym razem zmęczone i znudzone miny chórzystów doprowadzają do wściekłości reżysera, który domaga się żywszego poruszenia rąk i życzenie swoje wyraża apostrofą: „Czyście poumierali? krowy! jak się ruszacie! Ej, ty, w czerwonych spodniach, żywiej!" Sypią się klątwy, słowa obelżywe, wyrazy zniecierpliwienia z ust zdenerwowanego reżysera, kapelmistrza i baletmistrza. To muzykanci, to śpiewacy otrzymują przezwiska „osłów, durniów, idyotów, świń!" A zmęczeni, skrzywieni fizycznie i moralnie ludzie, potrzebujący zarobku, w pokorze wykonywają po dziesięć razy jedno i to samo. I wszystko to ma na celu służbę dla sztuki i wzniosły cel, który nie pozwala na zastanowienie się nad taką drobnostką, jaką są uczucia żywych ludzi!

Trudno o wstrętniejszy widok — powiada Tołstoj. I gdyby ludzie ci męczyli się tak przy jakiejś pracy poważnej, możnaby jeszcze wybaczyć owe klątwy na niedołęztwo. Ale idzie o przedstawienie najbezmyślniejszej w świecie rzeczy: szczęśliwego rozwiązania historyi miłosnej jakiegoś niebywałego króla indyjskiego, którego narzeczona, nie wiedząc o jego godności królewskiej, rozpaczała, że kocha się tylko w zwyczajnym śpiewaku, aż ku jej wielkiemu zadowoleniu rozjaśniła się zagadka: śpiewak okazał się głową koronowaną. Nie było nigdy takich Indyan, takiego króla, takiej historyi; nie rozmawiali nigdy ludzie takiemi recitatiwami, nie wyrażali nigdy uczuć w podobny sposób..

„Mimowoli człowiek zapytuje: dla kogo to się robi? Komu to się może „podobać"? Chyba przesyconym bogaczom o zepsutym smaku" — powiada Tołstoj.

„I cały ten obrzydliwy idyotyzm — wykrzykuje autor — przygotowy się nietylko nie z poczciwą wesołością, nie z prostotą, ale ze złością, ze zwierzęcą wściekłością!"

Czy rzeczywiście sztuka jest czemś tak ważnem — zapytuje Tołstoj — że usprawiedliwia takie ofiary — ofiary z pracy milionów ludzi, więcej jeszcze, z życia ludzi, więcej jeszcze, ofiary z miłości pomiędzy ludźmi, z moralności społecznej?! Gdzie jest zasada do ściągania z pracujących w pocie czoła tłumów podatków na zapomogi dla teatrów, konserwatoryów, muzeów, na uciechy estetyczne, z których sam lud nie korzysta? Czy można zgodzić się na tę ofiarę dla sztuki, nie zdecydowawszy naprzód, czy naprawdę ta sztuka jest rzeczą dobrą i pożyteczną? A przecie kwestya ta do dziś jest nierozstrzygniętą; śród klas najbardziej ucywilizowanych istnieją najbardziej nieokreślone i mętne pojęcia o sztuce; wobec sporu mnóstwa szkół, romantyków, realistów, symbolistów, dekadentów itd., gdyby wykluczyć ze sztuki wszystko to, co nieprzyznawane jest przez pewną grupę jej przedstawicieli—otrzymalibyśmy próżnię! „Kto wie zatem, po uważnem zbadaniu może się okazać, że ta sztuka, pochłaniająca kapitały, pracę i życie ludzkie, nie jest rzeczą nietylko pożyteczną, ale raczej szkodliwą!"

Chyba nikt nie zaprzeczy, że pytanie postawione zostało nader mocno. Tołstoj zajrzał w sam rdzeń kwestyi socyalnej.

Niewątpliwie można i należy patrzeć na rzeczy i z tej strony. Ale czy badanie wyłącznie z tej jednej strony będzie zupełnie racyonalnem i filozoficznem? Czy nie mamy tu jednocześnie zacieśnienia i rozpłynięcia się kwestyi? Z jednej strony bowiem pojęcie gołej użyteczności zaćmi zupełnie pojęcie przyjemności i złamie jedno skrzydło szczęścia ludzkiego. Z drugiej strony, czy pręgierz, rozpostarty tak wyłącznie po nad sztuką, nie daje się z tą samą słusznością rozciągnąć na liczne gałęzie działalności ludzkiej: gdzie miara użyteczności mnóstwa zawodów, mnóstwa rodzajów pracy? Wszystkie pola działalności pochłaniają życie ludzkie, a które słusznie? Czyliż można pasować się z koniecznością, że życie się trawi? Dlaczego zarobek skrzypka w orkiestrze, póki go słuchają, ma bardziej boleć, niż zarobek czeladnika szewckiego? Dlaczego klątwa majstra szewckiego lepszą jest od klątwy dyrektora orkiestry? Dlaczego niedbalstwo w pracy, mającej na celu zabawienie tłumu, znośniejszem być ma od niedbalstwa w pracy, mającej na celu obucie jednostki?

Kwestya estetyczna nie jest ekonomiczną i rozwiązanie jej z tej strony może nastąpić tylko równolegle z rozwiązaniem całego pasma zagadnień socyalnych o charakterze ekonomicznym, nigdy zaś wcześniej. Kwestya estetyczna nie jest także etyczną, a tylko styka się z nią na pewnej przestrzeni, podobnie jak i z ekonomiczną. Tołstoj zagadnienie o pięknie wyprowadza jednostronnie z punktu ekonomicznego i rozwiązuje je prostolinijnie — jak to zobaczymy — jedynie miernikiem etycznym. W tem tkwi zasadniczy błąd jego pracy.

(C. d. n.).

L. Belmont,

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

BIBLIOTEKA dzieł wyborowych zamieściła w t. 37 „Pamiętniki Seglasa" F. Skarbka, a w t. 38 „Podróż do bieguna północnego" F. Nansena, w przekładzie F. Janiszewskiego.

ENCYKLOPEDYA rolnicza doszła do zeszytu 76 (Owady); Orgelbranda z. 35 (Birma).

HISTORYA LITERATURY — powszechnej W. Gostomskiego z. 11 t. II; „Obraz lit. polskiej" P. Chmielowskiego z. 14.

KRAJ W OBRAZACH K. Woźniaka z. 7, wypełniony widokami z Częstochowy.

FILOZOFIA. „Przeglądu filozoficznego" wyszedł zeszyt 3.

DLA LUDU. „Kazimierz Wielki," z powieści J. I. Kraszewskiego skróciła J. F. i „O kupnie gruntów" S. Holewińskiego.

FRASZKI. „Oj va!", zbiór drobiazgów humorystycznych i „Kobieta," zbiór aforyzmów, zebranych przez S. Lipińskiego.

POEZYE

ZE ZGRZYTÓW.

Co tam? Czy to świat się wali,
I w posadach zaczął drżyć?
Czy to dusza mi zasłabła?..
Świat się wali coraz dalej...
Coś mnie dusi, dławi, pali...
Co to? obłęd?.. Tam do dyabła!
Po co żyć?...

I to przez te ręce białe
Prysła, pękła woli nić?
Przez nie duszy krwawa łuna?
Przez te drobne ręce białe,
Przez te oczy wpółomdlałe?
Tylko przez nie? Do pioruna!
Trzeba żyć!

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

TRADE-UNIONIZM.

III.

W drugim okresie spotykamy już dwa odłamy trade-unionizmu: nowy i stary. Ten ostatni, składający się z przedstawicieli *trade clubów* (wówczas związki nie nazywały się jeszcze trade-unionami), obejmował tylko pracowników jednego i tego samego fachu. Nowy kierunek natomiast dążył do *trades-unionizmu*, tj. do objęcia w jednej organizacyi członków *wszystkich* fachów, bez względu na różnice zajęć. Dążność do stworzenia nietylko narodowych związków pojedynczych zawodów, bez związku, obejmującego całą klasę pracowników, tworzy nowy unionizm w latach 1829—34. Pionierami tego nowego kierunku byli pracownicy przemysłu tkacko-przędzalniczego oraz robotnicy budowlani Lancashiru i Yorkshiru.

W r. 1830 delegaci dwudziestu różnych zorganizowanych fachów zeszli się w Manchester i założyli ogólny „Związek narodowy dla obrony pracy" z wyraźnym celem opierania się zniżkom płac, lecz nieurządzania bezroboci dla ich polepszenia. W krótkim czasie związek ten liczył około 150 rozmaitych organizacyj. Prócz tkackich i pokrewnych zawodów w skład jego wchodziły związki mechaników, kowali, drukarzy itp. W r. 1831 Związek narodowy wydawał już pismo tygodniowe, które postawiło sobie za cel „zjednoczyć w wspólnym związku wytwarzające klasy społeczeństwa." Ówczesny ruch radykalno-polityczny był w piśmie tem gorąco popierany. Prócz tego stowarzyszenie to wysyłało już płatnych agitatorów do organizowania nowych związków i łączenia się ze „Związkiem narodowym" ogólnym. Miał on liczyć około stu tysięcy członków, a jego organ, *Voice of the People*, wychodził w 30,000 egzemplarzy. Stowarzyszenie to jednak dość prędko się rozpadło na oddzielne części fachowe, wskutek braku jednomyślności. Jego miejsce zajęły inne stowarzyszenia ogólne, z których najgłówniejszym stał się Związek pracowników budowlanych, czyli jak go

inaczej jeszcze nazywano, „Ogólny związek zawodów.“ W 1833, objąwszy wszystkie kategorye działów budowlanych, podjął walkę z przedsiębiorcami, żądając jednakowej listy płacy dla wszystkich rodzajów robót, ograniczenia liczby terminatorów, zakazu maszyn, pracy akordowej itp. Jego postawa zaczepna wywołała energiczne przeciwdziałanie ze strony przedsiębiorców i solidarny napad na Związek ogólny. Na konferencyi w r. 1833, złożonej z przedstawicieli wszystkich klas przedsiębiorców, postanowiono nietylko odmówić zadośćuczynienia wszystkim żądaniom związkowców, lecz zniszczyć wogóle tego rodzaju powszechne i zaczepnie działające związki. W tym celu wynaleźli środek, który miał się na długo potem stać przyczyną walk uporczywych: żaden pracownik nie miał się zgłaszać po robotę, dopóki nie wyrzeknie się formalnie i na piśmie wszelkiej łączności ze związkiem i jego działalnością. To żądanie, ochrzczone przez związkowców mianem „prezentacyi dokumentu,“ wywołało gorączkowy nastrój wśród pracowników budowlanych.

W tym samym czasie odbywał się w Manchesterze kongres związku pracowników budowlanych, który wzbudzał powszechne zainteresowanie. Robert Owen, wielki twórca utopijnego programu, wykładał na nim swą naukę, że praca jest źródłem wszelkiego bogactwa i że przez stworzenie ogólnego związku klas pracujących uda się zatrzymać bogactwo w ręku prawdziwych wytwórców, czyli pracowników. W *Pionierze*, który wówczas był organem związku budowlanego, widzimy, jak gorącą była wiara nowego trade-unionizmu. Podawano projekty planów w celu powierzenia wszystkich robót budowlanych w kraju wielkiemu narodowemu związkowi pracowników działu odpowiedniego. Po tych nadziejach nastąpił jednak szybki upadek „Ogólnego związku fachów.“ Niektóre związki, wchodzące w skład ogólnego, sprzeciwiły się zasadzie centralizacyi, przyjętej przez kongres, a trwające jednocześnie wielkie bezrobocia pracowników budowlanych skończyły się zupełną porażką związkowców.

Polityka zaczepna i szybki rozrost tego rodzaju organizacyj przedstawia nam tylko jednę stronę powszechnego wzrostu i działalności nowych związków. Jednocześnie rozpoczęto agitacyę na rzecz 8-godzinnej pracy. Gdy wyszło prawo, ograniczające pracę dzieci do 8 godzin dziennie, prządnicy z fabryk bawełnianych postanowili z tego skorzystać i przygotowali ogólne bezrobocie z żądaniem, aby z chwilą wejścia w życie tego prawa (1 marca 1852 r.) wszyscy dorośli nie pracowali dłużej od dzieci; ta droga zdawała się prostszą i krótszą, niż żądanie nowego prawa dla dorosłych. W odpowiedzi na wszystkie te dążności związkowców przedsiębiorcy połączyli się i zaprowadzili solidarnie wyżej wzmiankowaną „prezentacyę dokumenu“: powstawała więc nowa walka o byt związków.

Do najwyższego punktu swego rozwoju doszedł nowy unionizm w „Grand National Consolidated Trades Union,“ którego największym werbownikiem i propagatorem był sam Owen. W r. 1834 Grand National postanowił przybrać formę federacyi fachowo zorganizowanych lóż, każda loża miała sama zarządzać swymi funduszami, a dla zmów miały być nałożone na wszystkich specyalne podatki. Każda loża miała prócz tego zaprowadzić u siebie kasę pomocy dla chorych, starców i na wsparcia pogrzebowe. Jednocześnie przyjęto uchwały, na mocy których miano wydzierżawiać ziemię, w celu dania zajęcia wyrzucanym z fabryk gorliwym stronnikom ruchu i utworzenia na nich warsztatów stowarzyszeniowych. Żaden związek nie liczył dotąd tylu członków, co Grand National; w przeciągu kilku tygodni zdołał zwerbować najmniej pół miliona osób, włącznie z dziesiątkami tysięcy pracowników rolnych i kobiet. Liczni agitatorowie przebiegali kraj, a zadanie ich było o tyle łatwem, że wszystkimi owładnęła jak gdyby mania unionizmu. Liczne bezrobocia atoli, wynikłe najczęściej z powodu „prezentacyi dokumentu,“ odmawianej przez pracowników, uniemożliwiły Grand Nationalowi jego działalność. Pisma mieszczańskie prześcigały się w czernieniu związkowców i w denuncyacych fałszywych, a oburzenie ich wzrosło jeszcze bardziej, gdy z powodu bezrobocia gazowników część Londynu zaległy ciemności egipskie. Rząd angielski, pchany przez niezadowolonych przedsiębiorców i farmerów, znalazł wreszcie środek: rytuały i przysięgi, towarzyszące aktowi przyjmowania członków przed r. 1824, w wielu miejscach jeszcze zachowano, jakkolwiek po zniesieniu ustaw przeciw koalicyom straciły one już zupełnie znaczenie. Rząd odkrył w tej niewinnej ceremonii „sprzysiężenie“ i w r. 1834 za sam akt odbierania przysięgi skazał sześciu pracowników na siedem lat deportacyi. Wyrok ten jak piorun uderzył w świat związkowców.

Co prawda, prawo z r. 1825 zawierało niejasne określenia i warunki, jak np. że nie wolno zmuszać nikogo do zaprzestania pracy, grozić, naruszać czyjąkolwiek swobodę przedsiębiorcą itp. W ten sposób „pikiety,“ stawiane w czasie zmowy dla dowiedzenia się, czy kto pracuje, choćby bez najmniejszego innego zamiaru, lub spokojne namowy, odwodzące kolegów od łamania solidarności, wreszcie sam fakt ogłoszenia zmowy można było tłomaczyć jako chęć straszenia, przymuszania itd. W miarę wzrastania ruchu związkowego i kontragitacyi przedsiębiorców, sędziowie coraz częściej czynili użytek z tych niejasnych określeń prawa z r. 1825 w celu prześladowania związkowców. Alarm, wywołany wzrostem i potęgą Grand Nationalu, zwiększył te prześladowania, które do najwyższego stopnia doszły w powyżej przytoczonym wyroku 7-letniej deportacyi. Okazało się przytem, że Grand National miał większy wpływ, niż się sam rząd angielski spodziewał. Cała maszyna tej organizacyi użytą została do szerzenia petycyj i organizowania olbrzymich mityngów publicznych. Związki, nienależące do Grand Nationalu, połączyły się z nim we wspólnej agitacyi, której szczytem była olbrzymia procesya związkowców w kierunku ministeryum spraw wewnętrznych dla wręczenia petycyj, pierwsza w rzędzie owych wielkich manifestacyj, które dotąd miały odegrać znaną rolę w życiu politycznem Anglii. Petycya zawierała przeszło milion podpisów. Związkowcom pospieszyli na pomoc politycy radykalni... Nie pomogło to już jednak deportowanym skazańcom, natomiast wszystkie niemal związki pospieszyły uroczyście ze zniesieniem przysięgi i tradycyjnych ceremonij.

Taktyka przedsiębiorców z „prezentacyą dokumentu“ i inne prześladowania wywoływały niezliczone bezrobocia, które wreszcie przywiodły związek Owena do zupełnego upadku. Napróżno sam Owen i jego uczniowie odradzali od zmów, tłomacząc związkowcom, że jedynem ich zbawieniem jest produkcya stowarzyszeniowa; gdy funduszów nie starczyło na podtrzymywanie każdego bezrobocia, upadła wiara w Grand National. Po ożywieniu 1833—34 r. następuje apatya i dezorganizacya. Wielkie cele związków zbankrutowały, same związki upadały, nic prawie nie wskórawszy, prócz ciężkich porażek, zwątpień o przyszłości i apatyi. Pomimo okresu ożywienia w produkcyi nie były nawet w stanie przeciwdziałać spadkowi płac. Rzut oka na dalsze dzieje związków łatwo daje poznać przyczynę tej niemocy. Wyszedłszy zaledwie z pomroków poprzedniego okresu nielegalnej egzystencyi, bez doświadczenia i bez zrozumienia mechanizmu społecznego, nie zdoławszy ścisnąć i wzmocnić węzłów własnej organizacyi, chcą odrazu zwyciężyć kapitalizm, dochodzący dopiero właśnie do pełni swego rozkwitu. Następny okres może aż nazbyt korzysta z tego doświadczenia, bądź co bądź stawia sobie bliższe cele, a dążąc do nich stale i niezmordowanie, tworzy silne na wewnątrz organizacye, zdolne przetrwać każdą burzę.

Nowe przesilenie przemysłowe dobija resztki wielkich związków, a nędza i despotyzm przedsiębiorców powodują znowu gwałtowne wybuchy rozpaczy, które odbiły się na obozie Chartystów i wyładowały się w buntowniczych dążnościach lat 1839—42.

Rozczarowanie i doświadczenie tego okresu doprowadziło nowe pokolenie związkowców do zaniechania wszelkich projektów przewrotu społecznego. Następne 25-lecie wypełnia wyłącznie walka przeciw bezpośrednim skutkom ucisku prawnego i ekonomicznego. Na widownię występują wielkie federacye wykwalifikowanych pracowników ze swymi scentralizowanymi już zarządami i kasami wsparć, starające się zastąpić gwałtowne metody poprzedniego okresu, o ile można, środkami fachowo-związkowej dyplomacyi. Do tej zmiany przyczyniło się może głównie nowe położenie ekonomiczne. Okres poprzedni wypełniają często i gwałtowne przesilenia produkcyi. Od 1850 r. natomiast rozwój przedsiębiorstw kroczy przez długi czas spokojniej i odbywa się na szerszą skalę, niż w jakiejkolwiek innej epoce. Pod wpływem tych warunków wylania się nietylko nowy duch, lecz i nowy wzór trade-unionów, obdarzający je siłą finansową, wykwalifikowanym sztabem płatnych urzędników i nieznaną dotychczas stałością liczby członków.

W nowym tym, drugim okresie legalnego istnienia związków powstaje między innemi wielka federacya górników, która w krótkim przeciągu czasu była w stanie opłacać 53 wędrownych organizatorów i około r. 1844 liczyła już przeszło sto tysięcy członków. Główną cechą ówczesnego unionizmu był niezmordowany opór przeciw prześladowaniom sądowym. Prócz niejasnych określeń prawodawstwa 1825 roku, sędziowie korzystali jeszcze z odkopanego przez siebie starego prawa o stosunkach między pracodawcami a sługami, stanowiącego odtąd jeden z najgłówniejszych motywów prześladowania związkowców. Nieobznajmieni z „kruczkami“, prawnymi, związkowcy stawiają adwokatów, którzy wkrótce stają się ich stałymi płatnymi doradcami prawnymi. Adwokat górników otrzymuje od federacyi ich tysiąc funtów rocznej pensyi. Skuteczne często obrony adwokatów wywołują nowy zamach reakcyjny ze strony parlamentu (1844 r.), lecz uprzedzeni związkowcy rozpoczynają w porę agitacyę i na zdumiony parlament sypie się około 200 petycyj, reprezentujących 2 miliony pracowników. Zamach zostaje skutecznie odparty.

(C. d. n.).

Adolf War—ski.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Przy warszawskim General-Gubernatorze utworzona została rada, w której skład wchodzą: ks. Oboleński i generał Onoprienko, starszy prezes warszawskiej

Izby sądowej senator Aristów i prokurator tejże Izby Turau, naczelnik sztabu warszawskiego okręgu wojskowego generał Puzyrewski, kurator warszawskiego okręgu naukowego Ligin, zarządzający kancelaryą generał-gubernatora Mienkin, gubernator kaliski Daragan i gubernator warszawski Martynow, zarządzający dobrami skarbowemi gubernii Warszawskiej, Piotrowskiej, Kaliskiej i Płockiej Sergiejew, prezes warszawskiego komitetu cenzury Jankuljo i czasowo p. o. zarządzającego warszawską izbą skarbową Olferjew.

J. O. ks. Imeretyński, otwierając posiedzenia tej rady, wskazał jej cele i zadania w następujących słowach:

„Wkrótce po wejściu mojem na stanowisko generał-gubernatora warszawskiego, niejednokrotnie wypadło mi zwracać się o pomoc do tych lub innych osób urzędowych, celem wspólnego rozważenia ważniejszych kwestyj, dotyczących zarządu kraju. Pomyślne rezultaty tych przygodnych narad, łącznie z poczuciem niedoskonałości załatwiania podobnych spraw zwykłą drogą kancelaryjną, naprowadziły mię na myśl o konieczności utworzenia przy generał-gubernatorze warszawskim stałej instytucyi kolegialnej z charakterem doradczym. Opracowany w tym przedmiocie projekt został złożony przeze mnie w październiku r. z. ministrowi spraw wewnętrznych, celem wniesienia do rady państwa; obecnie zaś projekt ten, bez poważniejszych zmian przy rozpoznawaniu go w wyższych instancyach rządowych, uzyskał, jak wam już wiadomo, Najwyższą sankcyę Najjaśniejszego Pana.

Zaznaczając konieczność utworzenia specyalnej rady, daleki byłem od myśli wskrzeszenia zniesionej w. r. 1866 rady administracyjnej Królestwa Polskiego; ta ostatnia instytucya przeszła na zawsze w krainę historyi. Ja zaś kierowałem się pobudką wyłącznie praktyczną, a mianowicie chęcią udoskonalenia tego porządku przy załatwianiu spraw ważniejszych, który zastałem przy mojem objęciu stanowiska generał-gubernatora. Kraj Nadwiślański, zbyt odrębny pod względem etnograficznym i kulturalnym, przytem dotychczas jeszcze nie zupełnie wolny od specyalnych warunków politycznych, znajduje się na drodze trwałego, organicznego zlania z pozostałemi częściami państwa. Łączność tych wszystkich odrębności miejscowych nadzwyczajnie komplikuje niełatwą już samą przez się sprawę administracyi i żąda od niej szczególnej baczności. Przy rozpoznawaniu i załatwianiu spraw przez jedną osobę, ten ostatni warunek nie może być wykonany z pożądaną ścisłością; przeciwnie, od jednej osoby można się raczej spodziewać błędów, po większej części mimowolnych, ale niestety, nie zawsze dających się naprawić. Rozpoznanie zaś kolegialne w daleko wyższym stopniu zapewnia regularny i pewny bieg spraw. Lecz przytem osoby, wchodzące do składu kolegium, powinny należeć do różnych wydziałów administracyi, przez co osiąga się większą różnostronność oświetlenia każdego przedmiotu, a to jest niezbędny warunek dla wyjaśnienia prawdy. Oto dlaczego rada przy generał-gubernatorze składa się z przedstawicieli kilku wydziałów. Każdy z was, panowie znajduje się na czele oddzielnej w kraju instytucyi, której zarząd wzbogaca człowieka doświadczeniem i pewną szerokością poglądów. To doświadczenie i oparty na niem bezstronny sąd każdego z członków rady, zapewniają właśnie wszechstronność rozważenia każdej sprawie, która będzie wniesiona przeze mnie do waszego rozpoznania. Zwracam waszą specyalną uwagę, panowie, że, zdaniem mojem, cel wspólnej z wami narady Głównego Naczelnika kraju nie polega bynajmniej na tem, aby wysłuchać opinię tego lub owego z was co do specyalnej, technicznej strony rozpoznawanej sprawy, gdyż na to generał-gubernatorowi wystarczyłoby pomówić w każdej sprawie z właściwym specyalistą.

Całą zaś uwagę i pożytek rady upatruję w waszych sądach co do *ogólnej zasadniczej* strony każdej sprawy. Szczegółowe opracowanie sprawy albo wcale nie będzie dotyczyło generał-gubernatora (jeśli sprawa dana poruszoną została przez jakiś wydział, nienależący do ministeryum spraw wewnętrznych), albo też będzie poprzedzała rozpoznanie sprawy w radzie, lub też nastąpi później, przyczem w dwóch ostatnich razach będzie obowiązkiem kancelaryi generał-gubernatora. Jeśli wszakże jakaś kwestya okaże się tak specyalną, że wymagać będzie wiedzy technicznej, przewyższającej obecne siły kancelaryi, to prawo pozwala nam wzywać do rady osoby kompetentne, które złożą jej wszelkie dane, niezbędne do przedwstępnego wyjaśnienia sprawy. Tym sposobem wasze zadanie będzie polegać na tem, aby na zasadzie zebranego tą lub inną drogą i złożonego radzie materyału, wypowiedzieć zasadniczy sąd w każdej sprawie.

Być może, iż wasza energia będzie się do pewnego stopnia osłabiała z powodu tego, że instytucya, w której macie pracować, posiada tylko charakter doradczy i że główny zarząd po dawnemu spoczywać będzie całkowicie w ręku Głównego Naczelnika kraju. Rzeczywiście całą *faktyczną* odpowiedzialność za takie lub inne załatwienie sprawy, rozpoznanej przez radę, ponosić będzie generał-gubernator. Lecz na każdym z was ciążyć będzie nie mniejsza, jeśli nawet nie cięższa odpowiedzialność *moralna* za dokładność wyrażonej w radzie opinii, ponieważ przy całej bezwarunkowej ufności dla członków rady, generał-gubernator nie może w swych decyzyach nie kierować się waszym poważnym głosem.

Jednocześnie na radzie cięży jeszcze i druga poważna odpowiedzialność wobec już nie jednego naczelnika kraju, a wobec całego szeregu następujących po sobie generał-gubernatorów.

Rada, będąc instytucyą stałą, której działalność uwiecznia się piśmiennie w protokółach posiedzeń, powinna być wiernym obrońcą *ciągłości* podstawowych zasad polityki rządu wyższego względem kraju tutejszego. Zmiana osób, zajmujących stanowisko generał-gubernatora, i złączona z tem zmiana poglądów osobistych odtąd nie będzie wywoływała gwałtownych wahań w systemie rządzenia krajem, ponieważ w poprzednich pracach rady każdy nowy naczelnik kraju niewątpliwie będzie czerpał drogocenne dla siebie wskazówki.“

W DALI.

Wilno. Rolnicy gub. Wileńskiej odczuwają dotkliwie brak miejscowego ogniska rolnego, gdzie mogliby zbliżać się z sobą i w interesach gospodarczo-handlowych porozumiewać. Projekt wskrzeszenia zamarłego niegdyś w zarodku wileńskiego Towarzystwa rolniczego — jak donosi *Słowo* — znowu się zachwiał i upadł niemal, acz żadne przyczyny niezależnej natury, nie stanęły mu tym razem na przeszkodzie. Względy i względziki osłabiły inicyatywę, a nie znalazł się nikt, niestety, ktoby ją pochwycił, umocnił i nie oglądając się po za siebie, ożywił i w czyn zamienił. W dążności do stowarzyszeń rolnych wyprzedzają ziemian miejscowych nawet powiatowe miasta gubernij Kowieńskiej i Grodzieńskiej a bodaj, iż i Wilejka, nędzna powiatowa mieścina, wysunie się naprzód, założy u siebie kółko rolnicze ziemiańskie, o którego zatwierdzenie czynią się od roku starania. Zgrupowanie się gorzelników, zaprojektowane w r. z. i w pierwszej chwili gorąco przez znaczną liczbę spożywców spirytusu przyjęte, nie dochodzi dotąd również do skutku. Zeszłoroczny zjazd właścicieli gorzelni w Wilnie wykazał należycie, do czego prowadzą rozstrzelone kółka i kółeczka, uwzględniające jedynie warunki własnej parafii, a zapominające o potrzebach i okolicznościach produkcyi ogólnej. Gorzelnicy gub. Kowieńskiej murem stanęli, gdy szło o obronę interesów wspólnych i dzięki temu zwarciu sił osiągnęli bez porównania lepsze rezultaty, niż fabrykanci gub. Wileńskiej.“ W r. b. zbyt produkcyi spirytusu do monopolu zwiększa się o połowę. Gubernialny wileński przedstawiciel akcyzy rozesłał już do fabryk komunikant w tym względzie. Gorzelnie, które dotąd dostarczały do monopolu 6,000 wiader, obecnie mogą zakontraktować 9,000 wiader. Ceny dotąd nie wykazane. Zakupy okowity, dokonane przez rząd w r. z. w gub. Wileńskiej, nie wystarczają na potrzeby spożycia.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Nowosti* piszą: „Wobec obowiązkowego wprowadzenia z d. 13 lipca 1900 r. języka rosyjskiego do czynności Towarzystw kredytowych miejskich w Królestwie Polskiem, z postanowienia ministra skarbu na urzędy w owych instytucyach mogą być teraz powoływani ludzie gruntownie znający język rosyjski, tak ażeby mogli w nim korespondować.“

— Lekarze warszawscy starają się o założenie kasy zaliczkowo-wkładowej. Projekt ustawy opracował dr. Józef Zawadzki.

— Towarzystwo opieki nad trzeźwością ludu w Grodnie otrzymało kredyt na urządzenie domu, w którym mogą być umieszczone herbaciarnia, biblioteka, czytelnia i teatr ludowy.

Szkoły. Instytut inżenierów dróg i mostów w Petersburgu przyjmie w r. b. ogółem 115 słuchaczów (10 na kurs I i 15 na II). W stosunku procentowym Polaków może być przyjętych na kurs I-szy tylko pięciu.

— Uczenice, które ukończyły oddział techniczny przy szkole malarskiej p. Wiesiołowskiej w Warszawie, otrzymały stałe zajęcie jako rysowniczki techniczne przy pracowniach budowniczych i inżenierów tutejszych.

— Na jesieni będzie roztrząsany w Radzie państwa projekt instytutu górniczego, jako wyższego zakładu naukowego w Jekaterynosławiu.

— Wykłady w warszawskim instytucie politechnicznym rozpoczną się 1-go września. Liczba miejsc wolnych na kursie I: na wydziale mechanicznym 100, chemicznym 60, inżeniersko-budowlanym 90. Prawo wstępu daje ukończenie gimnazyum klasycznego, siedmiu klas szkoły realnej lub innego zakładu odpowiedniego. Jeżeli kandydatów będzie mniej, niż miejsc wolnych, to wszyscy mają wstęp bez egzaminu. W przeciwnym razie ogłoszony będzie egzamin konkursowy z matematyki, fizyki i języka rosyjskiego, w granicach kursu gimnazyalnego. Wolni od egzaminów konkursowych: kandydaci, posiadający dyplomy z ukończenia wyższych zakładów naukowych; ci, którzy zdali egzamin półkursowy na wydziale fizyczno-matematycznym uniwersytetów; z uniwersytetu zaś warszawskiego ci, którzy przeszli na kurs trzeci tegoż wydziału.

— Do niższych szkół technicznych mogą być przyjmowani młodzieńcy w wieku do lat 17 i pół, starsi zaś — najwyżej do lat 18 — mają wstęp tylko wyjątkowo, i to za zgodą rady pedagogicznej.

Koleje i komunikacye. Według pism rosyjskich, na wszystkich stacyach kolei mają być urządzone „zagrody,“ po za które wpuszczana będzie tylko publiczność, opatrzona w bilety jazdy. Ma to na celu „ukrócenie nadużyć.“ Zarazem „zagrody“ te będą jeszcze jednym faktem, świadczącym, że publiczność jest przez koleje traktowana jak bydło. Wogóle widzimy w gospodarce tych przedsiębiorstw coraz więcej utrudnień dla ogółu.

— Ministeryum komunikacyi wydało rozporządzenie, zabraniające kolejom skarbowym przyjmowania na posady etatowe i nieetatowe ludzi, mających więcej niż 40 lat wieku.

— Budowa kolei wązkotorowej Warszawsko-Grójeckiej postępuje szybko. Towarzystwo ma koncesyę na utworzenie linii od Warszawy przez Piaseczno do Góry Kalwaryi, z prawem przedłużenia jej do Grójca. Wobec jednak tego, że ministeryum uznało za potrzebną kolej normalną szerokotorową z Warszawy przez Grójec, Białobrzegi do Radomia, zarząd Towarzystwa wstrzymuje się na razie z doprowadzeniem wązkotorówki do Grójca, poprzestając na ułożeniu toru do Góry Kalwaryi. Ruch towarowy i osobowy na nowej drodze rozpocznie się około 10 lipca, jak zapewnia *Kuryer Warsz.*

Wystawy i zjazdy. Na 1 lipca zwołano w Żytomierzu zjazd członków niedawno utworzonego Towarzystwa chmielarzy wołyńskich.

— W salach rysunkowych Muzeum rzemiosł (w Warszawie) otwarto wystawę rysunków oraz przedmiotów z zakresu sztuki stosowanej.

Katastrofa kolejowa. Z Krakowa donoszą, iż pociąg osobowy, który wyszedł (24 czerwca) z Pilzna, spotkał się między stacyami Mlac i Szelesz z pociągiem towarowym. Maszynista, palacz, hamowniczy, dwu urzędników pocztowych i trzech pasażerów odniosło rany. Ruch pociągów przerwany.

Zmarł. Kerner, znakomity botanik współczesny, profesor uniwersytetu wiedeńskiego. Napisał sporo dzieł przyrodniczych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu prenumeratorowi. Zamiast „ankiety,“ która mogłaby wypaść wbrew Pańskiemu przypuszczeniu i nie odkryć owych 90%; zamiast przykrości z postępowania redakcyi, która tak dalece nie odpowiada Pańskim życzeniom i jest tak nieudolna, że powinnaby zasięgać rady swych abonentów, czy nie prościej i nie skuteczniej byłoby zrzec się udziału w nakładzie takiego wydawnictwa?

D. E. Wiersz bez wartości.

Pani H. J. Może Pani znajdzie w dalszym ciągu to, czego szuka.

Panu Piotrowi W. Radzibyśmy pomówić z Panem osobiście, w poniedziałek lub wtorek, w godzinach przedpołudniowych.

Panu Eug. G. O ile niewyraźnie napisany sonet Pański mogliśmy odczytać, jest on bezimiennym i bezprzyczynowym pesymizmem. Piołun nie potrzebuje się tłomaczyć, dlaczego ma sok gorzki, ale poeta — powinien.

Panu F. P. Nie możemy zabierać miejsca w *Prawdzie* odpowiedziami na pytania Pańskie co do znaczenia pomników, zwłaszcza że byłaby to ofiara daremna. Wobec głębokiego przekonania, że 2 razy 2 Hanibal — jak mówi Dickens — spór jest niemożliwy.

Prenumeratorowi. Druga część „Poradnika“ w druku.

Pol. P. Chmielowski zamieszkał stale w Zakopanem, gdzie odzyskuje zdrowie.

Panu J. Witortowi. Dziękujemy za wiadomość. Szkoda Pańskiego i naszego czasu na odpieranie takich mizernych ataków.

OFIARY.

Na fundusz Junoszy, ze Zgierza: Wacław Rund rs. 1, Jan Kaniewski rs 1, F. Jędrzejewski rs. 3, Marya Boratyńska rs. 1, Józef Pogonowski rs. 1, A. S. rs. 1, S. M. rs. 1, Czesław Freudenreich rs. 1. R. B. rs. 3, X. O. kop. 20, K. S. kop. 50, S. D. rs. 2, K. N. rs. 1, W. A. kop. 50, Stanisław Manduk kop. 50, A. Kowalczewski rs. 1, A. D. rs. 2, W. Z. rs. 1, J. B. rs. 1, Jan Śniechowski rs. 3, Jan Kiersnowski k. 50, E. Łypaczewski k. 50, Ant. Nowakowski k. 50, Ad. Wiśniewski k. 20, J. H. rs. 2, S. Ledwochowski rs 1, X. P. rs. 3, Stanisław Olczak k. 50, H. Kaniewski rs. 1, Rothert rs. 1, K. Trzebski k. 20, Al. Torno rs. 1 k. 50. **Razem rs. 37 k. 60.**

SPROSTOWANIE. W nr. 25 *Prawdy* w „Pamiętniku,“ w art. „Kursy piwowarskie“ winno być, że z kasy majstrowskiej wpłynęło rs. 3,000.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Іюня 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.